MIŁOŚĆ OBOJĘTNOŚĆ I NIENAWIŚĆ

STR. 6

ZBRODNIA W MAJESTACIE PRAWA

(III)

str. 3

KRÓLOWA NAUK

STR. 5

ODGŁOSY

ROK XVIII NR 39 (929) 25 WRZEŚNIA 1975 ROKU CENA 3 ZŁ

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY

REKOMENDACJE

Co to znaczy myśleć historycznie?

Chodzi o takie myślenie — pisze Lucjusz Włodkowski — które stanowiłoby syntezę przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, które opierając się na najlepszych wzorach przeszłości byłoby motywem działania w teraźniejszości z myślą o przyszłości. Ewidentnym wzorcem w tej mierze są „Tezy Komitetu Centralnego PZPR na Trzydziestolecie PRL" przyjęte na XVIII Plenum naszej Partii. Są to sprawy rangi państwowej. Mówił o tym tow. Gierek. A o tym jak mówił, pisze ZASTĘPCA w felietonie telewizyjnym na stronie drugiej.

Myśleć historycznie, to również działać, i to działać skutecznie i efektywnie. Tak pojmują to pracownicy POM w Rąbieniu. Pisze o tym Jerzy Wawrzak, relacjonując swą wizytę w tej placówce.

Myślenie historyczne skłania również do refleksji z przeszłości. WRZESIEŃ 1939 ROKU. Co o nim wiemy? Jak oceniamy tamte dni? Jakie wyciągnęliśmy wnioski? My i inni?. „Tego kapitału doświadczeń historycznych nie wolno nam roztrwonić". Oto wnioski nasuwające się po lekturze artykułu Konrada Frejdlicha pt. „Wrzesień".

Zbliżamy się powoli do zakończenia wspomnień o Barbarze Radziwiłłównie. Autor — Zbigniew Kuchowicz — relacjonuje nam ostatnie chwile jej życia a także uroczystości żałobne i pogrzebowe.

Z dziedziny literatury proponujemy prozę Uładimira Karatkiewicza w doskonałym przekładzie z białoruskiego Jana Huszczy. Ponadto Jerzy Jarmołowski prezentuje cykl wierszy zatytułowany „Z sonetów biesiadnych".

Z pozycji cyklicznych drukujemy dziś trzeci odcinek „Zbrodni w majestacie prawa" Andrzeja Blajera, opisujący proces przeciwko Rosenbergom.

Poza tym Czytelnicy znajdą cotygodniowy serwis felietonów, recenzji i sprawozdań z życia politycznego kraju i świata.

NIE TYLKO HISTORIA

KONRAD FREJDLICH

WRZESIEŃ

Wrzesień 1939 jest tym doświadczeniem narodowym, którego nie sposób zapomnieć. Piszę to uświadamiając sobie zarazem, że jest coraz mniej Polaków, dla których było to doświadczenie osobiste. Czas robi swoje i sam jestem przykładem generacji, która sprawy rozgrywające się wówczas zna tylko z lektur. Stoi mi zwłaszcza przed oczami tych kilka zdań z „Dziennika" Zofii Nałkowskiej:

„...Z mapy, z radia, ze słów przechodzących ludzi i uciekających żołnierzy, zaczynamy rozumieć, co się w ciągu tych kilku dni stało, jaki jest los nas wszystkich. To jest nowy typ wojny, dotąd nie znany, na który nie ma dotąd wypracowanych metod obrony. — Ataki lotnicze przenikają daleko w głąb kraju, w jego miejsca nieprzewidziane, nieoczekiwane. Wszędzie już pozrywane druty i tory, nie ma łączności ani porozumienia nie tylko cywilni ludzie, ale żołnierze i oficerowie — nikt nic nie wie. Detonacje słychać z różnych stron kraju, w różnych stronach widać na horyzoncie pożary — stąd powstają wieści, że są już tu albo tam, gdy właśnie są gdzie indziej, stąd niepewność wszelkich dróg, wszelkich kierunków, stąd ustawiczna zmiana celów. Klęska jest niewątpliwa i niezmierna, i niezmierny jest jej zasięg, zupełna rozsypka ludności i wojska. Nie ma frontu i nie ma tyłów, zewsząd jest niebezpieczeństwo, nie ma gdzie iść, bo to, co jest tu, jest wszędzie. Nie tylko ci mężczyźni, którym kazano wyjść z Warszawy, ale każdy żołnierz i oficer na próżno szuka miejsca, gdzie go przyjmą, zorganizują, ubiorą, uzbroją i nakarmią. Żołnierze mówią: „Nie wiem, co się stało, bo przecież robiliśmy wszystko jak trzeba, biliśmy się dobrze". Właśnie — osiągnęli to i to, odnieśli miejscowe zwycięstwo, ale kazano im się cofać, kazano każdemu osobno przedzierać się znów gdzieś dalej. Gubią się wszyscy, plączą, tracą ślady i kierunki".

Gorzkie to i szczere, a przecież w części tylko prawdziwe słowa. Klęska była niewątpliwa, ale była to bardziej klęska Europy z Wersalu niż osamotnionej w swojej świętej woli oporu Polski, którą Hitler usiłował rzucić na kolana, jak wcześniej zniewolił Austrię, Czechosłowację i Litwę (Kłajpeda). W złowrogich latach trzydziestych bitwa na polskiej ziemi nie była pierwszą wojną w Europie. Wcześniej w zmaganiach z faszyzmem wykrwawiła się republikańska Hiszpania. Był on jeszcze bezimienny, ale już wszechobecny, już butny, już zbrodniczy. Pracował na swoją metrykę. W 1933 roku Hitler łamiąc postanowienia traktatu wersalskiego zaczyna odbudowywać Wehrmacht. W trzy lata później pierwsza próba sił: wojska niemieckie przy absolutnym milczeniu mocarstw zachodnich zajmują zdemilitaryzowaną strefę Nadrenii. W roku 1938 te same kolumny pancerne bez wystrzału zajmują Austrię. Mocarstwa zachodnie milczą i zgadzają się na kolejny zabór Europy. W haniebnym układzie monachijskim Hitler otrzymuje czeskie Sudety. W pół roku później złamie i ten traktat: Niemcy, znowu bez wystrzału, zajmują Pragę. Jest już rok 1939. Teraz ich wzrok skieruje się na Polskę.

„Dzisiejszej nocy — przemówił 1 września w Reichstagu Hitler — **po raz pierwszy Polska kazała otworzyć ogień swoim wojskom regularnym na nasze terytorium. Od piątej godziny rano strzelamy z naszej strony".**

Prawdziwa w tym meldunku jest tylko data rozpoczęcia działań wojennych przeciw Polsce. Jak wiadomo pierwsze pociski na Westerplatte spadły o 4.45. O piątej rano wojska hitlerowskie atakowały już nasz kraj na całej, blisko 1500-kilometrowej granicy. Wszędzie napotykały na opór. Żołnierz bił się dobrze, ale zbyt duża była przewaga liczebna i techniczna wroga, zwłaszcza w bro-

Dalszy ciąg na str. 3

REPORTAŻ

JAN BĄBIŃSKI

NOC NA DWORCU

To się nazywa mieć pecha. Na pociąg do Lipska spóźniłem się o minutę i teraz przyjdzie mi czekać kilka godzin na odejście następnego. Trzeba będzie tę noc spędzić na kolońskim dworcu i w jego przejmująco wymarłych o tej porze okolicach.. Nic się na to nie poradzi, bo w kieszeni pustka. Jeden spacer wokół katedry, której ogromny masyw rozświetlony reflektorami zdaje się dziobać chmury smukłymi wieżycami. Drugi spacer po wąskich uliczkach starego miasta zatrważająco o północy milczących. Cichość jak na wiejskim cmentarzu. Z tych uliczek unosiła się podejrzana martwota. Żywego ducha, choć wszystkie neony jarzyły się jak świąteczne drzewka wigilijne. Robi się nieswojo. Licho wie, co się kryje w tych przykatedralnych zaułkach, lepsza już poczekalnia na dworcu.

Nie mogę opędzić się wrażeniu, że tej nocy w przepotężnej nawie dworcowej dali sobie rendez-vous wszyscy gastarbeiterzy tego nadreńskiego miasta. Gdzie spojrzeć Turcy z nieodłącznym wąsikiem, rozgadani Serbowie, sztywni i małomówni Hiszpanie, Portugalczycy o smagłych cygańskich twarzach, Grecy z tobołkami w ręku i zbici w gromadę Włosi pochłonięci studiowaniem rozkładu jazdy. Południowcy... winni być pełni werwy, wesela i spontanicznej radości. Dlaczegóż mają smutek na

Dalszy ciąg na str. 8

OD CZWARTKU DO CZWARTKU

NOWY ROK DZIAŁALNOŚCI KULTURALNEJ 1975/76

Uroczysta inauguracja nowego roku działalności kulturalnej odbyła się w Zakładowym Domu Kultury Zakładów Mechanicznych „URSUS". Wziął w niej udział członek Biura Politycznego, wicepremier, minister Kultury i Sztuki JÓZEF TEJCHMA. Po wygłoszeniu przemówienia, poświęconego aktualnym problemom rozwoju kultury, tow. Jerzy Tejchma udekorował najbardziej zasłużonych działaczy kultury wysokimi odznaczeniami państwowymi.

W Pałacu na Wodzie w warszawskich Łazienkach odbył się uroczysty koncert, na który przybyli: I sekretarz KC PZPR **Edward Gierek**, przewodniczący RADY PAŃSTWA **Henryk Jabłoński**, członkowie Biura Politycznego i Sekretariatu KC PZPR, rządu, kierownictwa stronnictw politycznych, organizacji młodzieżowych, twórcy i działacze kultury.

W programie koncertu Barbara Hesse-Bukowska, Stefan Kamasa i Maciej Paderewski wykonali utwory Fryderyka Chopina, Henryka Wieniawskiego, Grażyny Bacewicz i Karola Szymanowskiego.

Po koncercie **Edward Gierek** i **Henryk Jabłoński** spotkali się z przedstawicielami świata twórców i działaczy kultury. Spotkanie upłynęło w serdecznej atmosferze.

TEATR WIELKI W WARSZAWIE ODZNACZONY ORDEREM „SZTANDARU PRACY" I KLASY

W uznaniu wybitnych osiągnięć artystycznych, za zasługi dla rozwoju kultury narodowej oraz za propagowanie polskiej sztuki za granicą, czołowa scena muzyczna kraju — TEATR WIELKI w Warszawie — odznaczony został „ORDEREM „SZTANDARU PRACY" I klasy.

Wręczając to zaszczytne wyróżnienie w imieniu Rady Państwa, sekretarz KC PZPR Wincenty Kraśko podkreślił, że jest ono wyrazem uznania dla wysokiej rangi działalności kulturalnej w życiu kraju tej instytucji oraz stosunku państwa do twórczości artystycznej.

Wysokimi odznaczeniami państwowymi udekorowana została również grupa pracowników TEATRU WIELKIEGO.

Order „Sztandaru Pracy" I klasy otrzymali: BERNARD ŁADYSZ i KRYSTYNA SZCZEPAŃSKA; **Krzyże Kawalerskie Orderu Odrodzenia Polski** przyznano: Eugeniuszowi Banaszczykowi, Romanowi Matuszewskiemu, Bronisławowi Szafrańskiemu i Witoldowi Zalewskiemu.

GROTOWSKI W WENECJI

W tegorocznym Biennale Weneckim bierze udział Instytut Laboratorium Jerzego Grotowskiego z Wrocławia. Podczas pobytu w Wenecji Instytut poprowadzi zjazd włoskich grup eksperymentalnych oraz da kilkanaście przedstawień „Apocalypsis cum figuris".

W festiwalu tym biorą również udział: THEATRE du SOLEIL Arianne Mnouchkine z Paryża, z Nowego Jorku zaś teatr „La MAMA" i LIVING THEATRE.

„WARSZAWSKA JESIEŃ"

Uroczysty koncert Orkiestry Filharmonii Narodowej pod batutą Wojciecha Michniewskiego rozpoczął w sobotę wieczorem XIX MIĘDZYNARODOWY FESTIWAL MUZYKI WSPÓŁCZESNEJ — „WARSZAWSKA JESIEŃ".

W programie wieczoru zaprezentowano dwie światowe premiery nowych kompozycji — spośród szesnastu zapowiadanych w programie całego festiwalu. Pierwszą z nich była „Uwertura warszawska" Bogusława Schäffera, drugą natomiast był utwór „Inne dźwięki" Tomasza Sikorskiego.

„BOHATEROWIE NA CO DZIEŃ"

Pod takim tytułem „Głos Robotniczy" ogłosił konkurs na spopularyzowanie ludzi, którzy znajdują się w czołówce, „zaangażowanych we wszystko to, co się dzieje w zakładzie pracy, w przemiany dokonujące się w kraju, w mieście czy na wsi". Ich przykład powinien rozbudzić i upowszechnić przekonanie o słuszności drogi obranej przez Partię i Naród, na której znalazły się nieporównywalne sukcesy społeczno-gospodarcze ostatnich lat, które — w myśl Wytycznych na VII Zjazd Partii, prowadzą do jeszcze śmielszych i ambitniejszych wizji przyszłości. Zachęcamy do udziału w konkursie.

GOSPODARKA

Zakrawa to na paradoks, ale o sprawach najbliższych pisać najtrudniej. Wyszedłem z tej dziwnej branży przeszło trzy lata temu — po dziesięciu latach trudnej służby — i wielokrotnie odkładałem pióro, chociaż i wypadało i należało zabrać głos. Te dziwne opory wewnętrzne to jedna sprawa, ale problemu, który chcę wreszcie zasygnalizować, nie da się przecenić. Rolnictwo i zachodzące w nim procesy są tego warte, pośrednio dotyczą każdego z nas — konsumenta.

JERZY WAWRZAK

ZAWSZE NA PIERWSZEJ LINII

Okazja nadarzyła się nie do przemilczenia. Ale proszę się nie obawiać: nie będzie to sprawozdanie z uroczystości 25-lecia powstania Państwowego Ośrodka Maszynowego w Rąbieniu, ani okolicznościowa laurka. Ludzie i sprawy są za poważne, żeby tak całą rzecz skwitować. Tak czy inaczej okrągłe rocznice są dobrą okazją do refleksji: jak było, jak jest, jak będzie za kilka lat?

JAKIE BYŁY POCZĄTKI?

Podobnie jak wszędzie na terenie byłego województwa łódzkiego. Szukano jakiegoś punktu zaczepienia, kawałka państwowej ziemi, jakiejś kuźni, szopy, stodoły. Tak właśnie zaczynano w Rąbieniu, w stodole poniemieckiego gospodarstwa. Piętnastu ludzi w sierpniu 1950 roku podjęło tu nie tylko pracę, ale rozpoczęło życiową przygodę. Łatwo się pisze: życiowa przygoda, ale być w skórze tamtych ludzi?! Prymitywne warunki, ogromne zadania, które trzeba było realizować i uczyć się ich jednocześnie z kilku elementarzy: organizacji, techniki i... polityki. Właśnie, i polityki, bo POM pomyślane jako forpoczta socjalistycznego rolnictwa, poprzez swe Wydziały Polityczne, miały i te zadania przypisane. Głównie w stosunku do spółdzielni produkcyjnych, które jak wiemy i rodziły się w bólach i egzystowały też niezbyt kwitnąco. Bez ośrodków maszynowych (wykonywanie prac polowych sprzętem mechanicznym, porady agro- i zootechniczne, prowadzenie inwestycji itd.) trudno sobie wyobrazić ówczesną rzeczywistość w spółdzielczym sektorze rolnictwa. A trzeba wyraźnie powiedzieć, że te przedsiębiorstwa-instytucje, motory postępu, same jak na ironię borykały się z trudnościami wprost niewiarygodnymi. Ludzi z przygotowaniem było jak na lekarstwo, mieszkań wcale, biura nierzadko spełniały również rolę sypialni (tak! sienniki ze słomą na podłodze). Do tego brak narzędzi, wyposażenia, budynki zwykle niefunkcjonalne, stare rudery. Jednym słowem okres pionierski, trwający... latami, jako że inne były w tym czasie priorytety. Zmieniała się również i polityka rolna i żeby przetrwać POM również musiały podlegać radykalnym przemianom. Dopowiedzmy od razu, na lepsze, jako że czas przyniósł rozwiązania racjonalne. Zmiany zmianami, ale z tamtego okresu pozostało przeświadczenie potwierdzone praktyką: wszelkie nowości wprowadzane do rolnictwa odbywają się za pomowskim pośrednictwem. Nawet wówczas, kiedy POM przestał być „władzą", a stał się najzwyklejszym przedsiębiorstwem usługowym.

Czy wtedy było łatwiej? Dyrektorzy w przemyśle często narzekali, jeśli przyszło im borykać się z szerokim asortymentem produkcji. Gdybym chciał wyliczyć czym zajmowały się pomy w ostatnim dziesięcio- piętnastoleciu, trzeba byłoby na to przeznaczyć całą kolumnę. Może więc tylko hasłami: remonty wszystkich rodzajów, przeglądy, gwarancje fabryczne, produkcja części zamiennych, regeneracja, usługi z zakresu chemizacji, transportu, elektryfikacji, zaopatrzenia wsi w wodę, instruktaż, szkolenie własnej kadry i dla potrzeb kółek rolniczych. I dziesiątki innych.

W połowie lat sześćdziesiątych POM otrzymały pokaźny zastrzyk inwestycyjny. W każdym powiecie powstało po kilka filii, w niektórych pod pomowską opiekę przeszły bazy międzykółkowe. Wybudowano sporo nowych warsztatów, bloków mieszkalnych, szkół przyzakładowych.

JAK JEST?

POM Rąbień przeszedł te wszystkie koleje losu i wyszedł z nich obronną ręką. Jest zakładem w naszym, łódzkim rozumieniu niewielkim. Zaledwie kilkaset osób, zasobny w majątek trwały też nie za bardzo. Ekonomista-teoretyk może się skrzywić, jako że przeżywamy aktualnie słuszny kurs na kombinaty, zrzeszenia itd. Nie dałbym się jednak zwieść łatwym pozorom. Popatrzcie jak ten zakład jest zorganizowany, uporządkowany, każdy metr kwadratowy hali i placu zagospodarowany, wykorzystany, prostu także i ładny, gdzie pracownik i klient jednakowo dobrze się czują. I przy tym w ciągu ostatnich pięciu lat — p o d w o i ł produkcję. I to bez żadnych inwestycji, lecz przez modernizację, zwiększenie wydajności pracy, racjonalizację. Brać tylko przykład, docenić ten mało efektowny ale poważny wysiłek pracowitych, dzielnych i skromnych ludzi.

Ludzie. Jacy oni są? Jubileusze to przecież pretekst do ich uhonorowania. I tak się stało. Nie przeceniając wagi słowa pisanego, nie chcę wymienić tu niektórych, by nie dotknąć pominiętych. A siła kolektywów w małych zakładach polega właśnie na tym, że są to kolektywy z prawdziwego zdarzenia, że jeśli coś udaje się, to rzadko jest to zasługą pojedynczego pracownika. Tutaj wszyscy znają wszystkich, nie ukryje się żadna fuszerka, tu amatora „zarobić a nie narobić się" rozszyfrują natychmiast i wyrzucą na zbity pysk, za bramę. Bo pomowcy to specyficzny gatunek ludzi. Wiele cech ich wyróżnia. Wspomnę o kilku. Przez lata modelowych ewolucji i rewolucji nauczyli się radzić sobie w każdych warunkach. Stąd wysokie kwalifikacje i uniwersalne podejście do techniki. Minął niby czas „złotych rączek", ale to naprawdę złote, rzemieślnicze ręce, które sobie z każdym problemem technicznym poradzą. Dalej, przywiązanie do zakładu. Były takie lata, że w pomach płacili kiepsko. Monter, tokarz, ślusarz w sąsiednim zakładzie — tyle że w branży kluczowej — za podobną lub wręcz taką samą pracę mógł otrzymać o wiele większe wynagrodzenie. A jednak nie odchodzili. Teraz jest inaczej, ale ta stara gwardia pamięta i jej to trzeba pamiętać.

Więc z takimi ludźmi można przez pięć lat podwoić produkcję, licząc tylko na własne siły. I można z optymizmem myśleć o przyszłości i wyciągać rękę po inwestycje bez zażenowania. Wiadomo, że państwowego grosza tu zainwestowanego nie zmarnują.

CO DALEJ?

Uroczyste posiedzenie Konferencji Samorządu Robotniczego nie było tylko odświętną galówką. Były oczywiście ordery, odznaki zasłużonego pracownika rolnictwa, przodowników pracy socjalistycznej, dyplomy i premie pieniężne, ale także okazja do gospodarskiej rozmowy. Moment wybrany nie bez kozery, bo w prezydium zasiadły władze w pełnym komplecie i każdy głos został skrupulatnie odnotowany. A więc budowa dwóch nowych hal o łącznej powierzchni ok. pięciu tysięcy metrów kw., ośrodka szkoleniowego, kotłowni centralnej. Słusznie skracamy front inwestycyjny i kierownictwo POM Rąbień rozumie, że musi poczekać. Oby tylko nie za długo, bo wagi tego co chcą w tych nowych halach robić przecenić się nie da. Chodzi mianowicie o regeneracje części do ciągników i maszyn rolniczych. Wiadomo, że miną jeszcze lata nim uporamy się z problemem części zamiennych. Dlatego regeneracja, to jedna z dróg obniżenia deficytu, a ponadto wzorzec oszczędnego gospodarowania. Od wielu lat rąbieńscy pomowcy opanowali rozmaite technologie regeneracji, wierzcie mi, wcale niełatwe. Stali się w ten sposób zakładem specjalistycznym na cztery sąsiednie województwa, a w przyszłości niektóre pozycje mogą regenerować dla całego kraju. Osobiście wierzę w powodzenie ich zamiarów, bo na tym swoim poletku są dobrzy i dysponują w tej grze o własną przyszłość mocnymi atutami. O życzliwości władz (po zmianie podziału administracyjnego kraju Rąbień włączono do miejskiego województwa łódzkiego) zapewnił uczestników konferencji Samorządu Robotniczego tow. Tadeusz Płaska, kierownik Wydziału Rolnego i Gospodarki Żywnościowej KŁ PZPR. Liczyć także należy na dyrektora naczelnego Zjednoczenia Technicznej Obsługi Rolnictwa w Łodzi inż. Edwarda Malca, który przyrzekł pomóc w rozwiązaniu szkoleniowych kłopotów zakładu.

Otóż od kilku lat przy pomie istnieje Zasadnicza Szkoła Mechanizacji Rolnictwa. Kształci ona świetnych fachowców na własne potrzeby i spółdzielni kółek rolniczych. Aż dziw bierze, że w tak fatalnych warunkach, w starym baraku, który jest nie tylko architektonicznym dysonansem w obiekcie tak pięknie zagospodarowanym. A przecież POM Rąbień jako jedyny zakład na terenie Wielkiej Łodzi, musi i to w coraz szerszym zakresie, nadal szkolić kadry mechanizatorów, traktorzystów, operatorów — ludzi, którzy będą unowocześniać nasze rolnictwo.

* * *

I jak już jesteśmy przy „cieniach"; jeszcze jedna sprawa. Nikt jej tego uroczystego dnia nie podjął. Myślę, że rąbieniacy są trochę zażenowani swym natręctwem. Gdzie już nie byli, nie pisali. Chodzi o połączenie miejskimi autobusami ze śródmieściem Łodzi. Nasze ludowe państwo zrobiło w tym zakresie bardzo dużo, nie ma już właściwie problemu połączenia wsi z miastem. Człowiek się nieraz dziwi, że do największego grajdoła może dotrzeć pekaesem. Kiedy się spojrzy na sytuację ludzi z Rąbienia na myśl przychodzą jakieś irracjonalne historie. W głowie się to nie bardzo mieści. No, do czerwca były jeszcze granice, wojewódzkie, ale nie zawsze łatwe do sforsowania. Od czerwca i ten pseudokontrargument odpadł. Ale żarty żartami. Tę monstrualną z każdego punktu widzenia anomalię trzeba jak najszybciej zlikwidować. Rąbieniacy chcą i muszą być nie tylko administracyjnie, ale faktycznie przyłączeni do swej metropolii, której służą swoją dobrą pracą i obywatelską postawą.

A z okazji srebrnego jubileuszu dla całej załogi najlepsze życzenia.

TELEWIZJA

W KOPALNI „SOSNOWIEC"

Spośród programów publicystycznych TV najlepszą klasę prezentuje „Panorama", i co do tego wszyscy są zgodni. Ale w piątek ubiegłego tygodnia nawet „Panorama" zbladła wobec sprawozdania z kopalni „Sosnowiec". Z organizacją partyjną tej kopalni spotkał się Edward Gierek, odpowiadając na pytania towarzyszy z POP, której I sekretarz jest członkiem.

Wystąpienia Edwarda Gierka widujemy nieraz, najczęściej jednak są to wystąpienia oficjalne, gdzie z natury rzeczy osobowość mówcy jest podporządkowana regułom i konwencjom protokołu. Tu natomiast widzieliśmy i słuchaliśmy przez półtorej godziny żywej i bezpośredniej rozmowy — pełnej pasji, błyskotliwej i niesłychanie osobistej. Dar przekonywania poparty rzeczową argumentacją, gestem, dowcipem, żartobliwym wtrętem — uczynił z banalnego z pozoru sprawozdania — znakomitą audycję publicystyczną najwyższej próby.

Od wielu miesięcy nie widziało się w naszej TV tak świetnej audycji. Jak wiadomo, spotkanie w kopalni „Sosnowiec" trwało parę godzin. Montaż telewizyjny skrócił tę relację do półtorej godziny, a jednak zawarto w nim szeroką panoramę spraw, przedstawiono węzłowe problemy interesujące społeczeństwo. Oczywiście fakt, że problemy te omawiał i wyjaśniał przywódca partii i mąż stanu, nadał audycji określoną rangę — i to jest zrozumiałe. Ale przecież istotną sprawą tego wystąpienia było to j a k Edward Gierek mówił o sprawach narodu. A mówił prosto i jasno, prywcypialnie, gdy tego problem wymagał, kameralnie i subiektywnie, gdy rozważania pobrzmiewały nutą refleksji.

Następnego dnia kupiłem gazetę, przeczytałem stenogram spotkania i po raz pierwszy, jako człowiek pióra, zacząłem mieć kompleks wobec telewizji. Gazetowy zapis nie był w stanie oddać porywającej atmosfery tamtego wystąpienia. Jest to zresztą zrozumiałe. Zapis nie odda gestu, intonacji, zapis jest poza tym z konieczności pewnym skrótem, syntezą. Kto nie widział w TV owej audycji, kto relację ze spotkania z towarzyszami z kopalni „Sosnowiec" zna tylko z gazety, ten, być może, nie zrozumie mojego aplauzu dla piątkowego wystąpienia. Była to piękna lekcja, jak należy rozmawiać ze społeczeństwem, jak należy argumentować, jak wyjaśniać zawiłe nieraz problemy ekonomii i polityki.

Piszę — lekcja, bo dla wielu jeszcze ludzi na różnych stanowiskach, mówiących do społeczeństwa drewnianym, hermetycznym językiem, ta rozmowa Pierwszego Sekretarza z robotnikami powinna się stać przykładem, wzorem do naśladowania.

Nie jest to tylko moje odczucie. W sobotę tematem dnia było — jak Polska długa i szeroka — właśnie owo wystąpienie Edwarda Gierka na zebraniu w kopalni „Sosnowiec". I mówiono nie tylko o meritum zawartym w wystąpieniu Pierwszego Sekretarza, mówiono nie tylko o tym, co zostało powiedziane, ale z uznaniem i aplauzem komentowano właśnie sposób, w jaki przywódca narodu mówi do narodu o sprawach naszego kraju. Jak nie ukrywa i własnych wątpliwości, jak rzeczowo i otwarcie mówi o sprawach trudnych, problemach, które jeszcze trzeba rozwiązać.

Jak się rzekło, telewizyjne sprawozdanie z kopalni „Sosnowiec" było w sobotę tematem dnia. Ale audycji tej nie można nawet nazwać audycją miesiąca, bowiem tak świetnej publicystyki nie mieliśmy w TV od bardzo wielu miesięcy.

ZASTĘPCA

LISTY

BYŁAM KIEROWNIKIEM PEDAGOGICZNYM KOLONII W P.

Choć autor nie wymienia nazwisk ani miejscowości w artykule „Byłem kierownikiem kolonii", zamieszczonym w nr 34 „Odgłosów" z dnia 21 sierpnia br., to przedstawione tam „fakty" pozwalają sądzić, że chodzi o kolonię w P., a nie w Z. (jak podano w artykule). Tak się złożyło, że byłam tam kierowniczką pedagogiczną.

Chcę pisać tylko o tym, co znam z autopsji. Pracę rozpoczęłam w dniu otwarcia kolonii. Przyjechałam do P. razem z dziećmi. Ośrodek znałam, ponieważ pracowałam tu poprzedniego roku. Ale to, co zastałam obecnie, odbiegało znacznie, w sensie negatywnym, od stanu sprzed roku. W tym miejscu p. Bryl ma rację. Ośrodek nie był przygotowany na przyjęcie dzieci. Jadalnia wyglądała obrzydliwie, stoły bez ceraty (nieprawdą jest, iż musiano dokonywać mnóstwa skomplikowanych operacji, aby dostać na nią rachunek), dzieci chleb, jaki dostały do zalewajki, kładły na stole, bowiem nie zakupiono nawet talerzy (z tego wniosek, iż kierownik nie zainteresował się wyposażeniem placówki). Ale co w takim razie robił, skoro przybył do P. trzy dni wcześniej?

Dowiedziałam się również, że nie pomyślano o łóżku dla mnie, że nie mam gdzie spać.

Widząc zabieganego, rozkrzyczanego szefa, który zapomniał nawet nam się przedstawić, zebrałem wszystkich wychowawców (już po rozlokowaniu dzieci), by zorientować ich w obowiązkach. Zostałam jednak skarcona surowo przez p. Bryla, iż wkraczam w jego kompetencje: „Koleżanko, rada pedagogiczna będzie wieczorem, ja wszystko wyjaśnię".

Wychowawcy byli zdezorientowani, nie wiedzieli czyje polecenia wykonywać, kierownika, intendentki (?) czy moje. Pan Bryl zapomniał bowiem poinformować o zakresie obowiązków poszczególnych pracowników kolonii. Rada rzeczywiście odbyła się wieczorem, ale jakże była inna od tej, którą opisano w artykule. Wychowawcy mieli mnóstwo pytań, byli zaskoczeni tym, co zastali. Ponieważ dnia następnego sytuacja się nie zmieniła, kierownik był nieuchwytny, zwrócono się do mnie o zwołanie drugiej rady. Pan B. długo się zastanawiał nad jej celowością. Było to burzliwe spotkanie, wychowawcy oświadczyli, że jeśli nie będzie misek do mycia, ciepłej wody, ceraty i innych potrzebnych koloniście rzeczy, zawiadomią organizatora. Próbowano ich wówczas ułagodzić. Sytuacja stawała się coraz bardziej napięta.

W artykule nie napisano o tym, natomiast umieszczono fakty, które nie miały miejsca: bójkę między kolonistami, czytanie przez wychowawcę gazety przy stole, ranne wstawanie kierownika, który jakoby musiał wszystkich budzić, przypominając, że kolonia w P. to nie wczasy.

W trzecim dniu trwania turnusu p. Bryl opuścił placówkę i „wyruszył w Polskę", całkiem prywatnie, przekazując prowadzenie kolonii intendentce, która nie wyjawiła celu tajemniczej wyprawy. Nikt nie wiedział dokąd wyjechał, ani kiedy wróci. Po dwóch dniach pieniędzy zabrakło, p. Bryl nie wracał, zawiadomiono więc organizatora kolonii, by dalej finansował kolonię. Zakład został powiadomiony o sytuacji z telefonu prywatnego, gdyż szkolny znajdował się w zamkniętym gabinecie kierownika, intendentka, która posiadała klucz, odmówiła otworzenia gabinetu. Następnej nocy zaistniała również konieczność wezwania pogotowia, telefonu szukano nocą we wsi, bowiem posiadaczka klucza spała.

Z chwilą, kiedy na kolonii zjawili się przedstawiciele zakładu, dokonano poważniejszych zakupów: misek, ceraty (a nie jak wspomniano w artykule), zmieniono i urozmaicono jadłospis. I okazało się, że można dostać mięso, warzywa, owoce. Dzieci na zupy mlecznej i chleba z dżemem, a na danie nie dostawały już podwieczorek 5 cukierków po 30 g każdy. Gdy pan Bryl zjawił się po 3 dniach poproszono go o złożenie rezygnacji z kierownictwa kolonii. Następnego dnia p. Bryl wraz z p. intendentką opuścili placówkę.

Kierownictwo objęła oczerniona w artykule pani D.N., która wróciła z Łodzi, gdzie przebywała od początku czerwca w związku z podjętymi studiami.

Kolonia istniała dalej, dzieci miały urozmaicone zajęcia i wyjeżdżając były zadowolone z udanego turnusu.

Artykuł p. Bryla nie powinien był ukazać się bowiem jest pełen nieścisłości i rozmyślnie fałszuje sytuację. Czytelnikowi nie znającemu przecież całej historii przedstawia kolonię w nieprawdziwym świetle.

J.M.

(imię i nazwisko znane redakcji)

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), RYSZARD BINKOWSKI, KONRAD FREJDLICH, JAN JANICKI (redaktor techniczny), WIESŁAW JAŻDŻYŃSKI, BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, WŁODZIMIERZ PARYS (fotoreporter), JERZY RZYMOWSKI, WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), LUCJUSZ WŁODKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), JERZY WILMAŃSKI (zastępca sekretarza redakcji)

Stale współpracują: ANDRZEJ F. GRABSKI, ANDRZEJ GRUN, WŁODZIMIERZ KRZEMIŃSKI, KAZIMIERZ A. ŁEWKOWSKI, EWA NURCZYŃSKA, KRZYSZTOF POGORZELEC, WITOLD SŁAWSKI, TADEUSZ SZCZEPAŃSKI, BERNARD SZTAJNERT.

NIE TYLKO HISTORIA

WRZESIEŃ

Dalszy ciąg ze str. 1

ni pancernej i lotniczej. Trzeba było się cofać, organizować obronę na coraz to nowych rubieżach, aby przetrwać dwa tygodnie działań wojennych potrzebnych do mobilizacji naszym sojusznikom zachodnim, którzy w połowie września mieli uruchomić drugi front. Droga na Berlin stała wtedy otworem, większość niemieckiego potencjału wojennego zaangażowana była wtedy w Polsce, która, wbrew kalkulacjom hitlerowskiego sztabu generalnego, nie chciała się ugiąć. Broniło się Westerplatte, Oksywie, Modlin. Dalece poza wyznaczony przez układy i pakty czas broniła się Warszawa atakowana nieustannie z ziemi i z powietrza. Toteż straty wojsk niemieckich w Polsce były znaczne: ich własne, zapewne zaniżone dane, szacują je na blisko 100 tys. zabitych i tyleż rannych, z czego tylko jedna trzecia lżej.

Ten opór zaskoczył i rozwścieczył Niemców, stąd już od pierwszej chwili zbrodnicze akcje represyjne Wehrmachtu rozstrzeliwującego masowo ludność cywilną i jeńców. Przyzwyczajeni do parad wojskowych w Wiedniu i Pradze nie mogli zrozumieć fenomenu broniącej się wbrew wszelkiej nadziei Warszawy. A przecież mimo bohaterskiego oporu żołnierza polskiego, mimo bezprzykładnej ofiarności polskiego społeczeństwa klęska była zupełna. Była tym większa, że wódz naczelny opuścił swą armię, a przywódca państwa swój naród ratując się ucieczką za granicę, co nie zdarzyło się nigdy w historii naszego kraju. Ta zdrada ugodziła boleśnie w mit polskiego honoru wojskowego, w mit obowiązku wobec ojczyzny, którego nie można inaczej spłacić jak śmiercią. Zofia Nałkowska, do której dotarła wiadomość radia francuskiego o tym, że Rydz-Śmigły i Mościcki znajdują się bezpiecznie za granicą, dziwi się że żaden z tych panów nie popełnił samobójstwa.

Wrzesień 1939 był czasem próby dla Polski i ostrzeżeniem dla Europy, z którego zbyt późno zaczęła wyciągać wnioski. Rezygnując z zajęcia nie bronionego na początku wojny Berlina, Europa otworzyła pancernym zagonom niemieckim drogę na Paryż. Padały kolejno Dania, Norwegia, Belgia, Holandia, Jugosławia, Grecja.

Podzieliła ich los Francja, której żołnierze nie chcieli umierać za Gdańsk i nie potrafili umierać za swoją własną ziemię. W świetle tych faktów można w pełni zrozumieć słowa Roosevelta, który powiedział o naszym oporze: „Polska jest natchnieniem narodów". Bo na kampanię wrześniową trzeba patrzeć nie tylko z narodowego, ale także z ogólnoświatowego punktu widzenia. W tym kontekście opór samotnej Polski nabiera już nie tylko symbolicznego, ale całkiem realnego znaczenia. Byliśmy pierwszym w świecie krajem, który zbrojnie przeciwstawił się faszyzmowi, który karabinową palbą wypowiedział się przeciwko jego planom podboju świata. Wróg zastał nas pozbawionych przywódców i niemal bezbronnych, ale nie rozbrojonych. Bowiem dalece niesłuszne wydaje mi się rozpatrywanie kampanii wrześniowej jedynie w kategoriach regularnych działań wojskowych, aż po ostatnią, październikową już przecież bitwę, pod Kockiem. Wrzesień był końcem Europy Wersalu, nie był wszakże końcem Polski, której wysiłek wojenny był widoczny przez wszystkie lata światowych zmagań z hitleryzmem: na naszej ziemi i tam wszędzie, gdzie toczyła się walka.

Wrzesień był kategorią otwartą: oto sypały się w proch narodowe mity, sojusze i doktryny polityczne, ale w ich miejsce rodziła się nowa świadomość, mądrzejsza o klęski i gorycze, o doświadczenia, w które dziś trudno uwierzyć, mądrzejsza także o zdolność przewidywania, ogarniająca wzrokiem perspektywę najszerszą. Świadomość zwycięska, dzięki której zatknęliśmy nasze sztandary na gruzach Brandenburger Tor wiosną roku 1945.

Wydawać by się więc mogło, że ten wrzesień stanowiący punkt zwrotny w historii świata, znalazł swój wyraz w literaturze narodowej, że tamte wydarzenia sprzed lat znaczone krwawymi łunami pożarów, dały impuls do powstania epopei na miarę tołstojowskiej „Wojny i pokoju". Jest to tym ważniejsze, że jak już wspominałem, żyje coraz mniej Polaków, dla których Wrzesień był doświadczeniem osobistym na przedpolach Warszawy, w oblężonej stolicy, na bezdrożach ogarniętego paniczną ucieczką kraju, kiedy nikt niczego nie wiedział i niczego pewnego dowiedzieć się było nie sposób. Na tle licznej, ale najczęściej cząstkowej tylko literatury naukowej historycznej i opracowań popularno-naukowych uderzające jest ubóstwo belestrystyki poruszającej się po obrzeżach tematu, opisującej jakieś epizody, to znów pławiącej się w psychologizmie. Na serio i całościowo próbował podjąć to zagadnienie jedynie Jerzy Putrament w swojej głośnej powieści „Wrzesień", nad którą zaczął prace już w roku 1946, ale wyposażył ją w balast ocen publicystycznych z lat pięćdziesiątych ulegając chyba zbyt często modnym w owym czasie polemikom prasowym. Toteż mimo, że jest to powieść wielowątkowa, szeroka, zabrakło w niej tego widzenia, które utorowało sobie już drogę w literaturze monograficznej i specjalistycznej: że polska ofiara w tej wojnie nie była daremną, że poprzez klęskę trzeba także dostrzec zarzewie przyszłego zwycięstwa. Zabrakło w niej także owego ogólnoświatowego aspektu, dzięki któremu oglądać można Wrzesień nie jako zjawisko izolowane, ale ogniwo, i to bardzo istotne, w zawiązującym się wówczas łańcuchu oporu przeciwko faszyzmowi.

Naukowa literatura przedmiotu jest już dzisiaj tak bogata, że żaden pisarz nie może się uskarżać na brak materiałów. Dostępne są opracowania i pamiętniki, archiwa i zbiory prywatne. W szuflakach czasopism można nawet znaleźć tę myśl polemiczną, która wielkimi meandrami torowała sobie w żarliwych sporach drogę do naszej dzisiejszej oceny tamtych zdarzeń. Winniśmy taką wszechogarniającą powieść o Wrześniu młodym generacjom Polaków. Winniśmy ją także tym wszystkim, którzy się o nią upomnieć nie mogą. Winniśmy ją naszym umarłym.

Za kilkanaście, kilkadziesiąt lat Wrzesień przestanie być czyimkolwiek doświadczeniem osobistym. Trzeba o nim zostawić wiarygodne świadectwo. O narodzie, który podniósł się z samego dna klęski. O narodzie, który nie pozwolił się rozbroić. Tego kapitału doświadczenia historycznego nie wolno nam roztrwonić.

KONRAD FREJDLICH

ZBRODNIA (III) W MAJESTACIE PRAWA

ANDRZEJ BLAJER

Proces przeciwko Rosenbergom, Davidowi Greenglassowi i Mortonowi Sobellowi rozpoczął się 6 marca 1951 roku w gmachu sądu na Foley Square w Nowym Jorku. Akt oskarżenia zarzucał im pogwałcenie „federalnej ustawy o szpiegostwie" z 1917 roku, a zwłaszcza rozdziału „A" art. 32 paragrafu 50 Kodeksu Karnego Stanów Zjednoczonych. Z aktu tego wynikało, iż po „namówieniu" Davida Greenglassa do wykradzenia tajemnicy bomby atomowej Rosenberg przekazał drugi kawałek tektury z pudełka po puddingach pracownikowi radzieckiej ambasady. Człowiekiem tym miał być według ustaleń śledztwa wicekonsul Anatolij Jakowiew, który następnie dał ów kawałek wraz z 500 dolarami Harry Goldowi z poleceniem, by ten udał się do Albuquerque, niedaleko Los Alamos, gdzie Greenglassowie wówczas zamieszkiwali i odkupił od Davida uzyskane przezeń materiały. 2 czerwca 1945 roku Gold skontaktował się z Greenglassem i otrzymał od niego kilka kartek z informacjami o pracy ośrodka atomowego w Los Alamos. Podczas swego pobytu w Nowym Jorku, we wrześniu 1945 roku, Greenglass przekazał Rosenbergom dalsze informacje oraz wspomniany już szkic poprzecznej bomby zrzuconej na Nagasaki. W lutym 1950 roku Juliusz Rosenberg miał się dowiedzieć, iż w Wielkiej Brytanii aresztowano jednego z jego łączników, uprzedził więc Greenglassa, że może on zostać aresztowany, powinien więc natychmiast opuścić kraj, czego ten jednak już nie zdążył uczynić, ponieważ został aresztowany.

W czasie śledztwa Greenglass przyznał się do zarzucanych mu czynów, w przeciwieństwie do małżeństwa Rosenbergów.

Rozprawie przeciwko oskarżonym przewodniczył jeden z najmłodszych wiekiem sędziów federalnych USA, 40-letni Irving Robert Kaufman. Ze względu na to, że wszyscy oskarżeni byli z pochodzenia Żydami oraz z uwagi na szczególną pozycję zajmowaną przez społeczność żydowską w USA, z którą administracja musiała się liczyć, aby uniknąć zarzutów o antysemityzm — postanowiono, iż sędzia jak i oskarżyciele powinni być również żydowskiego pochodzenia. Sprawa była o tyle istotna, iż na mocy wspomnianej ustawy o szpiegostwie oskarżonym groziła kara śmierci lub co najmniej 30 lat więzienia.

Proces, będący notabene naigrawaniem się ze sprawiedliwości, ciągnął się przez miesiąc i 5 kwietnia sędzia Kaufman ogłosił wyrok:

„Szpiegostwo, tak jak to tutaj widzimy... jest zawsze podłą, brudną robotą, bez względu na idealistyczne racje osób popełniających czyny szpiegowskie — wymowa przestępstwa może być tylko jedna, to jest zdrada własnego kraju.

Uważam, że wasza zbrodnia jest gorsza niż morderstwo. Bowiem nawet morderstwa popełnionego z całkowitą premedytacją nie można porównać ze zbrodnią, jakiej wy się dopuściliście. W czasie popełniania aktu morderstwa kryminaliści zabijają tylko swoje ofiary... Natomiast w waszym przypadku, uważam, iż przekazanie przez was w ręce Rosjan planów bomby atomowej, na lata przedtem, zanim nasi najlepsi specjaliści przewidywali, iż Rosja sama mogłaby ją wyprodukować oraz ulepszyć, już spowodowało, moim zdaniem, agresję komunistyczną w Korei i w rezultacie jej ofiary przekraczające 50 tysięcy istnień ludzkich, a wiadomo, iż dalsze miliony niewinnych ludzi zapłaciłyby również taką cenę za waszą zdradę. Nie ulega wątpliwości, iż przez waszą zdradę został zmieniony bieg historii na niekorzyść naszego kraju...

To, co mam o tym do powiedzenia, nie jest dla mnie łatwe. Rozmyślałem nad tym całymi godzinami, dniami i nocami. Starannie zbadałem wszystkie dowody... Studiowałem akta sprawy i pytałem swego sumienia — gdzie mogę znaleźć racje do okazania wam łaski, było bowiem całkowicie ludzkie i naturalne działanie na rzecz ocalenia wam życia. Jestem jednakże całkowicie przekonany, że postąpiłbym wbrew powadze i świętemu obowiązkowi urzędu, jaki naród tego kraju złożył w moje ręce, okazując wyrozumiałość wobec czynu oskarżonych Rosenbergów.

Juliuszu i Ethel Rosenberg, nie leży w mojej mocy przebaczenie wam. Jedynie Pan może okazać wam łaskę za to, czego dopuściliście się... tym samym więc zostajecie skazani na karę śmierci..."

Po krótkiej przerwie na lunch sędzia Kaufman wznowił rozprawę i skazał Mortona Sobella na 30 lat więzienia, a Davida Greenglassa na 15 lat. Na zakończenie sędzia stwierdził:

„Aczkolwiek może się to wydawać zbyteczne z mojej strony, wypowiadam się przy tej okazji przeciwko ułaskawieniu kogokolwiek ze skazanych".

Na mocy wyroku Rosenbergowie musieli więc opuścić swoje rodzinne miasto Nowy Jork. Droga ich wiodła 30 mil na północ, a celem jej było więzienie Sing Sing. Tam osadzono ich w celach śmierci, odległych od siebie o 30 metrów i znajdujących się oprócz celi straceń, w której na skazanych czekało krzesło elektryczne.

7-krotnie obrońcy Rosenbergów zwracali się do sądu apelacyjnego, 7-krotnie wnosili petycje do Sądu Najwyższego celem przeprowadzenia rewizji procesu, ale wszystkie te podania spotykały się z odmową. Dwukrotnie zwrócono się również do prezydenta z prośbą o ułaskawienie. Historia była bez precedensu, jako że był to pierwszy przypadek orzeczenia kary śmierci w USA za szpiegostwo w czasie pokoju. Wiele wybitnych osobistości wypowiadało się za okazaniem łaski skazanym. Listy do Białego Domu pisał w tej sprawie Albert Einstein, również inny laureat Nagrody Nobla, wybitny atomista Harold O. Vrey wypowiadał się na rzecz Rosenbergów na łamach „New York Times", a także prosił o osobistą audiencję u ministra sprawiedliwości i prezydenta, których mu zresztą odmówiono. Także papież występował w ich obronie, a nawet dwaj sędziowie Sądu Najwyższego podejmowali starania, aby ich uratować.

Nowy prezydent, Dwight Eisenhower, pozostawał jednak pod tym względem równie nieugięty, co jego poprzednik. Oto, co pisze on na ten temat w pamiętnikach z okresu swojej pierwszej kadencji (Dwight D. Eisenhower: „Mes annees a la Maison Blanche", t. 1, Paris 1963, tłum. francuskie):

„11 lutego 1953 roku ogłosiłem publicznie moją decyzję. Charakter zbrodni, której popełnienia Rosenbergowie zostali uznani winnymi i za którą zostali skazani, wykracza swoim zasięgiem daleko poza zabójstwo zwykłego obywatela, jest ona bowiem rozmyślną zdradą całego narodu i mogła w efekcie spowodować śmierć wieluset tysięcy, a może milionów niewinnych obywateli.

Trybunały umożliwiły przedstawienie wszystkich dowodów i zeznań, dotyczących tej sprawy... Wszystkie prawa do apelacji zostały przez skazanych wykorzystane i wyrok skazujący, ogłoszony przez trybunał, został zatwierdzony po tym, jak przeszedł przez wszystkie instancje sądowe.

Przystąpiłem do uważnego zbadania dossier tej sprawy i upewniłem się, iż wyrok, jaki zapadł w stosunku do obojga osobników (podkr. moje) był całkowicie słuszny i sprawiedliwy..."

25 maja 1953 roku Sąd Najwyższy odrzucił ostatnią apelację, a 16 czerwca — również prośbę o odroczenie egzekucji, wyznaczonej na dzień 19 czerwca. Oddajmy jeszcze na chwilę głos prezydentowi, gdy tłumaczy on słuszność podjętej przez siebie decyzji nie korzystania z prawa łaski w stosunku do skazanych.

„16 czerwca napisałem odnośnie tej sprawy list do mego syna, Johna, który aktualnie był na froncie w Korei:

„Przechodząc teraz do sprawy Rosenbergów muszę powiedzieć, że niechętnie odmawia się interweniowania w sprawie, w której kobieta ma otrzymać karę najwyższą. Ale do tego kroku z mej strony przyczyniły się dwa znamienne fakty. Po pierwsze — w obecnym przypadku mamy do czynienia z kobietą silnego ducha, osobistością straszną (!), podczas gdy jej mąż jest człowiekiem słabego charakteru; zatem wszystko świadczy, iż właśnie ona była mózgiem siatki szpiegowskiej. Po drugie — jeśli kara na nią nałożona zostałaby złagodzona, bez uczynienia tego samego wobec jej męża, Rosjanie rekrutowaliby odtąd swoich szpiegów wśród kobiet (sic!)"

Skazanie Rosenbergów na karę śmierci nie było jednak równoznaczne z osiągnięciem celu, jaki postawiła sobie administracja i aparat sprawiedliwości. Nie przyznali się przecież do winy, a to właśnie miało przekonać amerykańską opinię publiczną, że USA nadal pozostają potęgą światową. Twierdzono bowiem, że gdyby nie owa „zdrada", Rosjanie nie byliby w stanie jeszcze przez długi czas wyprodukować własnej bomby atomowej. Postanowiono więc dać Rosenbergom szansę „uratowania życia": w zamian za przyznanie się do zdrady tajemnicy bomby atomowej, wyrok śmierci nie zostanie na nich wykonany. Pomimo zdecydowanej odmowy obojga Rosenbergów wciąż miano nadzieję, że może chociaż w ostatniej chwili któreś z nich zdecyduje się przyznać. W związku z tym, na polecenie samego Eisenhowera w celach ich zainstalowano aparaty telefoniczne, mające bezpośrednie połączenia z centralą FBI, z których mogli skorzystać nawet w godzinie egzekucji. Ale w centrali czekano na próżno. Żaden telefon z celi śmierci więzienia Sing Sing nie zadzwonił, a 19 czerwca o godzinie 20.05 został stracony najpierw Juliusz Rosenberg, a po 10 minutach również jego żona, Ethel.

* * *

Dziesięć lat później ujawniono nowe dowody ich niewinności. 6 lutego 1963 roku waszyngtoński sąd apelacyjny orzekł, iż gdyby Rosenbergowie jeszcze żyli, mieliby prawo do wznowienia procesu.

Szkic konstrukcji procesu produkcji bomby, jaki David Greenglass miał rzekomo przekazać Juliuszowi Rosenbergowi, został opublikowany w amerykańskich gazetach. Eksperci określili go jako „dziecinną, bezwartościową bazgraninę".

Bezpośrednio po egzekucji Rosenbergów dwóch czołowych amerykańskich specjalistów z Komisji Energii Atomowej, dr Lapp i dr Beckerlay stwierdziło, iż było naukową niemożliwością zdradzić jakąkolwiek tajemnicę atomową, ponieważ bomby atomowe i wodorowe nie są rzeczami, które można ukraść i w formie informacji przekazać komuś innemu.

Wkrótce też, bo po półtora roku od tragicznej śmierci Juliusza i Ethel Rosenbergów zakończyła się oficjalnie w USA era maccartyzmu. W swoim histerycznym zaślepieniu senator z Wisconsin przekroczył bowiem wszystkie dopuszczalne granice. Badając „wpływy komunistyczne w armii i rządzie", zaczął wysuwać podejrzenia o „roznoszenie zarazy komunistycznej" pod adresem prezydentów — Trumana i Eisenhowera, sił zbrojnych oraz senatu. Toteż 2 grudnia 1954 roku senat wyraził mu votum nieufności 67 głosami przeciwko 22, wskutek czego działalność jego komisji została zakończona. Duch jej żyje jednak nadal, choć przybrał zupełnie inne formy, a praktyki FBI w zakresie fabrykowania dowodów są nadal na porządku dziennym jej działalności, czego dowodem może być wiele najświeższych wydarzeń z ostatnich lat.

AMBITNA I GODNA UWAGI

Jeszcze do niedawna w naszej, i nie tylko naszej historiografii, podejmującej problematykę wielkich ruchów społecznych i rewolucji, niepodzielnie królował schemat. Polegał on na powielaniu pewnego uproszczonego modelu patrzenia na wydarzenia dziejowe. Brało się mianowicie garść realiów ekonomicznych, wskazujących na to, jak wzmagał się wyzysk ekonomiczny i ucisk społeczny, następnie zaś przyporządkowywało się do nich realia polityczne, wiadomości o strajkach, lokautach, wydarzeniach rewolucyjnych itd. I to wystarczało, o nic dalej nie trzeba się było kusić. W ten sposób powstało wiele prac, również o Rewolucji 1905—1907 r. w Łodzi. Tego rodzaju uproszczone ujęcia historiograficzne, prezentujące metodę rozumowania nie mającą wiele wspólnego z marksistowską metodologią historyczną, krasznono zwykle obficie cytatami z klasyków. Gdy klasyków nie stało — nie o wszystkim przecież mogli się wypowiedzieć — trzeba było znaleźć inne cytaty, pochodzące od autorytetów. Cytat bowiem miał tu do spełnienia ważką funkcję: dostarczał sankcji schematyzmowi. Tak się przynajmniej zdawało jego wyznawcom. Nie chodzi mi rzecz jasna o wytykanie palcem, kto i kiedy uprawiał tego rodzaju uproszczona historiografię. Przypominanie nazwisk autorów czy tytułów prac nie ma tu chyba sensu, skoro wszyscy je znamy. Nie chodzi też o rozpamiętywanie, na jakie manowce mogą zaprowadzić historiografię i historycy. Przypominam te sprawy jedynie po to, aby lepiej zdać sobie i innym sprawę, jak daleko już od nich odeszliśmy, jak inny obraz przedstawiają nasze współczesne, wybitne dzieła historyczne. Przezwyciężenie uproszczonego schematu, inspirowane przez marksistowską metodologię, dążenie do bardziej wszechstronnego niż kiedykolwiek oglądu zjawisk, oto tendencje wyznaczające dziś rozwój nowoczesnej historiografii polskiej, szczególnie silnie widoczne w badaniach nad dziejami klasy robotniczej i ruchu robotniczego.

Przykładem tego rodzaju nowoczesnej historiologii, tym bardziej godnym uwagi, że wyrosłym na naszym łódzkim gruncie, jest książka **W. L. KARWACKIEGO** pt.: **„Łódź w latach Rewolucji 1905—1907 roku"**, opublikowana przez **Wydawnictwo Łódzkie**. Nie ulega wątpliwości, że jest to najwybitniejsza z publikacji jubileuszowych, jakie ukazały się w rocznice wybuchu rewolucji 1905 r. w Łodzi. Jest to książka ambitna: autorowi chodziło bowiem o coś więcej, niż tylko skrupulatne przedstawienie wydarzeń. Zrywając z dawnym wzorcem historii wydarzeniowej W. L. Karwacki zmierzał do tego, aby ogarnąć całokształt przemian, dokonujących się w badanym okresie we wszystkich dziedzinach życia w szczególności zaś w świadomości społecznej łódzkiej klasy robotniczej. W ten sposób bowiem zmierzał do ustalenia, czym Rewolucja 1905—1907 r. rzeczywiście była dla łódzkiego społeczeństwa, w jaki sposób zaważyła na jego kształcie.

„Wystarczyło zaledwie trzech lat — pisze W. L. Karwacki w konkluzji swojej książki — **aby miasto i jego mieszkańcy osiągnęli awans i zdobyli wiedzę społeczną i polityczną, jakiej w najśmielszych marzeniach nie mogli przewidywać organizatorzy życia politycznego na ziemiach polskich w XIX w., nie wyłączając nawet działaczy pierwszych partii socjalistycznych. Rewolucja ogarnęła swym zasięgiem wszystkich mieszkańców Łodzi, nikt nie pozostał obojętny na wydarzenia zachodzące wokół niego, każdy na swój sposób uczestniczył w tych wypadkach, co oczywiście nie przesądzało o totalnej afirmacji: jedni bez reszty rzucali się w wir jej walk, inni z niemniejszym zaangażowaniem starali się przeciwdziałać jej skutkom".**

Szczególnie ważkie były, jak dowodzi tego W. L. Karwacki, przemiany, jakie dokonały się w świadomości społecznej łodzian, w ich mentalności kolektywnej, zwłaszcza przemiany świadomości klasy robotniczej.

„Wielotysięczna masa włókniarzy, w olbrzymim stopniu przed rewolucją analfabetów o słabej świadomości klasowej, wywalczyła w trzech latach rewolucji awans, na który w normalnych warunkach przyszłoby czekać dziesiątki lat. Włókniarz łódzki przed 1905 r. i po 1907 r. reprezentował już inne wartości, a jego świadomość, kultura zachowania się, wiedza i doświadczenie osiągnęły już znacznie wyższy poziom".

Zmieniała się także świadomość innych grup społecznych, szczególnie zaś pięknie, jak zaznacza autor, zapisała się łódzka inteligencja, **„która aktywnie włączyła się do życia politycznego, społecznego i kulturalnego, często wspierając na tych polach poczynania robotników. Jej też należy przypisać zasługę w stymulowaniu życia kulturalnego i oświatowego tak ważnych, a nie docenianych przecież przed rewolucją dziedzin w życiu miasta przemysłowego".**

Ambitny cel autora warunkował że w jego książce, oprócz rozdziałów poświęconych przebiegowi wydarzeń w Łodzi w latach 1905—1907, znalazły się inne, traktujące o sprawach mało lub w ogóle nie znanych. Bo czyż w dotychczasowym piśmiennictwie historycznym o Rewolucji 1905—1907 r. wiele mamy kart o agitatorach i rewolucyjnej propagandzie, o znakach i symbolach rewolucji, o piosence robotniczej, o rozrywce i teatrze, muzyce i literaturze? A przecież była to także ówczesna rzeczywistość, tak samo jak strajki, walki na barykadach, szarże policji i strzały zza węgła, tyle że rzeczywistość zapoznana...

Wydawnictwo Łódzkie nie specjalizuje się, jak wiadomo, w publikowaniu prac naukowych, toteż i książka W. L. Karwackiego ma formę książki adresowanej do szerokiego kręgu czytelników. Mnie jednak, jako profesionalnemu historykowi, nieco przeszkadza brak jakichkolwiek odsyłaczy utrudniających rozpoznanie co autor wnosi nowego, co zaś powtarza za dawniejszymi ujęciami historiograficznymi, krótka zaś bibliografia, podana na końcu tomu, jest tak zwięzła, że niewiele mówi o bazie informacyjnej, na której oparł się W. L. Karwacki. Rozumiem jednak, że nie każdy czytelnik będzie w tej książce szukał tego, czego ja poszukuję. Natomiast wiekszość z tych, którzy sięgną po tę książkę, będzie narzekało na brak indeksu: doszły mnie jednak słuchy, że nie mogo dlatego, że książka powstawała tak szybko, że po prostu nie starczyło czasu na jego opracowanie. Przy okazji drugiego wydania — bo nie wątpię że książka ta na nie zasługuje — warto by to naprawić.

LEKTOR

JERZY JARMOŁOWSKI

Z SONETÓW BIESIADNYCH

powiastka o hedonistycznym rozpasaniu nad Bałutką

ANDRZEJOWI

mówią że wrócił lecz wrócił spojony
że Jarmol trzymał a Halszka mu lała
aż się ze śmiechu trzęsła ziemia cała
kiedy Arystyp go taszczył do żony

wtedy kometa mówią przeleciała
lud na Agorę wstąpił przerażony
raz się buntował a raz bił pokłony
przed jego brodą co bogów spętała

mówią że wrócił mówią że się miewa
że go leczono po opilstwie owym
mówią że Jarmol ponoć się naśmiewa

– rączka mi uschnie gdy na cztery głowy
kiedy z nim siędę pół kwarty rozlewać
a Halszka mówią że ta się zdumiewa

sonet za duszę nowożyjca Grzegorza

ty nie w biesiadzie ty miły w alkowie
sfory kielichów przez stół nie popędzisz
splot włosów pani dłonie ci uwięził
w tych włosach kwitną już twoi synowie

więc nie podniesiesz szklanicy do gęby
kaczka z półmiska dzień dobry nie powie
bo ty nie w gadce ty teraz w rozmowie
z kiełbaską-gadką piwkiem nie poglądzisz

przeto cóż żegnaj na siebie uważaj
czas między nami już chyłkiem umyka
wracaj do domu a łez nie przysparzaj

tu na dnie butli Biały Grześ mi fika
nagą biesiadą po stole się tarza
pijmy biesiadę za duszę umrzyka

gadka mitologiczna pod miód „Kasztelański"

– a pić możemy i za złote pszczoły
– czy że Maeterlinck czy że gęsty miód
– Lete wytrawną przejdziemy dziś w bród
czy wpław nam przyjdzie poprzez Styks miodowy

– dogodnie ponoć u Hadesu wrót
gdzie Charon bimber pędzi ze łba sowy
– lepiej gdy Dioniz obsypie nam głowy
chmielem i skryje pod plantacji chłód

– gdziekolwiek w czasie i jakie imiona
przyzwiemy druhu dla lubej nam sprawy
będziemy pili wszak za winne grona

– i za trzy Parki – trzy pijaczki białe
– będziemy pili w kwitnących ogrodach
– będziemy pili po przytulnych bramach

toast gdy czara z dłoni wypuszczona

bywa w żałobie i bywa w uśmiechu
to co z niej wzięte i to co w niej dane
nasze nadzieje w niej pielęgnowane
a czym ta kruchość na przestrzeni wieków

co mija pierwej nim my przemijamy
– wiotką rośliną w śmiertelnym człowieku
– kruszcem w kruchości niknącej w pośpiechu
pytam czym przyjaźń pośród ruchu planet

powiem – że pył to na skrzydle motylim
powiem – że cień to po ważki przelocie
powiem – że czara z dłoni wypuszczona

a może jam się w kruchości pomylił
może to diament skrzący w strzały grocie
piękna nienawiść w manowce zwiedziona

Alonka ma rok i dziewięć miesięcy.

Ale to już wcale duża dziewczynka. Liczy się bowiem nie wiek, ale to, co kto zdążył zrobić. A ona jest człowiekiem, który stosunkowo dawno nauczył się chodzić pieszo. W dodatku, nauczył się jako tako wypowiadać się, w każdym bądź razie najbliżsi znakomicie ją rozumieją.

I jeszcze coś, coś najważniejszego wystarczy komuś udać, że chce uderzyć kota, psa albo człowieka — natychmiast rozbrzmiewa rozpaczliwe, błagalne kwilenie:

— I cieba...

Oznacza to „nie trzeba". Świadczy zaś o tym, iż już jest wszystko to, co składa się na człowieka.

Alonka ma duże, jak spodeczki, błękitne oczy, dolną wargę wyrazistą (od razu widać, że charakter będzie miała nieco kapryśny i samodzielny), zwarte jak piłka ciałko i nóżęta, które przez całutki dzień tupocą po domu, w sadzie i ogrodzie. Gdyby tyle biegał człowiek dorosły, po roku na pewno dostałby zawału serca. Ta zaś będzie żyć jeszcze długie, długie lata, oczywiście, pod warunkiem, iż jakiemuś zaoceanicznemu idiocie nie przyjdzie chętka do zabawienia się najnowszymi osiągnięciami fizyki.

Te właśnie nóżęta to prowadzą ją pod łóżko, to do królikarni, w której małe o płaskich pyszczkach, podrygując tylnymi łapkami, smokczą swoją matkę. Te same nóżęta przyprowadzają ją do toaletowego stolika, przy którym można usmarować całą twarzyczkę pomadką do ust, aby matka aż wrzasnęła z przejęcia.

Niosą ją one w bezkresny dla niej świat, do sadu, gdzie wszystkiego można dotknąć rączynami, do grządek, gdzie rozsadę tak łatwo wyciąga się z wilgotnej ziemi.

Jest to typ dziecka-psotnika. I tak jest właśnie dobrze, gdyż właśnie z takich wyrastają ludzie, którzy są coś warci.

Alonka ma matkę — przystojną, zaokrągloną kobietę; ojca, który został w mieście, żeby latać na „molotach"; dziadka i babcię, którzy świata poza nią nie widzą.

Oprócz tego ma jeszcze wujka, który dużo myśli o problemach światowej doniosłości i nieruchomo przesiaduje przy biurku.

Wujek ten lubi przede wszystkim z nią się przekomarzać, sadza tę cielęcość sobie na kolanach i o czymś wspomina.

W takich chwilach twarz jego robi się smutna i pieszczotliwie tęskna. Babcia, gdy to widzi, śpiesznie przechodzi przez pokój, jak gdyby niczego nie zauważając i rozmawia o czymś z córką, matką Alonki. Niekiedy matka traci cierpliwość i zabiera córeczkę od wujka.

— Co ty całe wieki z nią przesiadujesz?

— A cóż mam robić?

— Masz przecież kogoś tam, wiem o tym!

— „Ktoś" jest ważniejszy niż wszystko, ale „ktoś" nawet na mnie nie chce patrzeć.

Dziadek, ojciec wujka, przesiaduje w fotelu pod bzem, przez jego twarz przebiega cień. Jego wargi układają się w wesołą fałdkę:

— Powinieneś postąpić tak jak pewien wiejski Romeo: „Padałem przed nią na kolana, ona zaś na mnie nawet splunąć nie chciała. To ja jej końskich, zmarzniętych jabłek nawkładałem do kieszeni!" Wy teraźniejsi, przecież wszyscy tacy jesteście. Rozeźlony wujek macha tylko ręką, sadza Alonkę na barkach i idzie z Alonką nad Dniepr, żeby słuchać jak za rzeką pyka traktor.

Alonka nic z tego wszystkiego nie rozumie, gdy jednak rozpoczyna się podobna rozmowa — woła, aby przerwać kłótnię:

— Tprr...

I przekłada to na swój obecny język:

— Awić się...

Są w niej wszystkie zadatki na przyszłą kobietę.

Ona siedzi na ręku u matki, wujek zaś wyciąga do niej swoje i wabi palcami. Niezdecydowanie odsuwa się całkiem od mamusi i, wychylając się, przegina ku wujkowi. I nagle — szeroki uśmiech na buzi, dziecko znowu obejmuje matkę za szyję, chowa się. Spoza ramion matki widać tylko marzące, figlarne, błękitne oko. Radośnie zerka na rozczarowane oblicze wujka.

I tak bez końca.

O, Boże litościwy, cierpieć nam, mężczyznom, teraz i zawsze!

Oprócz tego, Alonka umie malować. Bierze ołówek do piąstki i rysuje na papierze zawsze to samo: podłużny, nierówny owal — owo jajko, od którego zaczynali wszyscy Rafaelowie. Barwi to jajko najbardziej jaskrawymi kolorami: czerwonym, gęstopomarańczowym, bławatkowym niby kobalt na starych wazach chińskich.

Kiedy dają jej żółty ołówek, koloruje podobnie, potem jednak i tak wszystko obrysowuje ulubionym swoim ołówkiem, nawet jeśli trafia do niej po jakichś dwudziestu minutach.

Zdaje sobie sprawę z tego, że w przeciwnym wypadku dzieło nie jest doskonałe, jest bowiem estetką i trochę snobką.

Tupie nóżętami na klombie, wujek zaś siedzi i, patrząc na nią, rozmyśla. Wszystko to wiele mu przypomina.

A zwłaszcza — wojnę.

Wujek, nie wiadomo dlaczego mniema, że mieszkańcy kuli ziemskiej cierpią tylko z powodu strachu. Powodowany strachem, biegnie do ataku żołnierz wojsk kolonialnych, ze strachu odejmują dzieciom od ust kawałek chleba i składają go na ołtarzu boga, który wcale nie jest tego chciwy.

Wujek zauważa, że Alonka również ma swoje strachy. Są one, co prawda, małe, ale czyż wiele trzeba dla takiego pisklęcia?

Ten jej strach — to odkurzacz!

Wcześniej, jeszcze przed przyjazdem do tego domu na wywczas, przyniesiono do ich mieszkania straszydło, podobne do żółwia. I odtąd regularnie — raz na dwa tygodnie — strach wypełnia swoim hałasem pokoje, cały mały świat Alonki.

Strach mamrotał i pełzał jak żywy.

Dzikie, nie dające się niczym porównać przerażenie opanowało Alonkę. Nawet nie wrzeszczała, ale patrzyła w jeden punkt i drżała na całym ciałku.

Wreszcie dorośli to zauważyli i zaczęli w czasie tej pracy wynosić dziecko na podwórko, ale też i z całym okrucieństwem tę okoliczność wykorzystywać.

Widmo odkurzacza ścigało Alonkę nawet i tutaj.

Zapragnie wejść w krzaki i nazrywać niedojrzałych porzeczek — natychmiast słyszy głos:

— Nie wolno! Odkurzacz!

Jej oczka od razu robią się okrągłe i zastygłe. Rączki, zakończone różowymi, cieniutkimi paluszkami, same biegną do tyłu i tam pocierają nerwowo jedna drugą.

Odwraca się i uparcie powtarza:

— Tam... durzacz!

Patrzy na matkę wielkimi oczyma. Oczy te przypominają wujkowi inne oczy — może zresztą szare — bliskie, dalekie, najmilsze na tej ziemi, i cały napełnia się ciepłym, głębokim przypływem wspomnienia.

Potem zaczyna rozmowę z siostrą.

— Nie waż się jej straszyć. Cóż to, chcesz, żeby wyrosła z niej bojaźliwa, ciągle drżąca istota?!

— Znalazł się mądrala. Jeżeli tak, to pilnuj tej wiercipięckiej przez cały dzień!

— No i dobrze. Cóż to, nie jadłem takich porzeczek w dzieciństwie?! Albo ty?! Wszystkie te twoje bakterie — to w wysterylizowanych izbach szpitalnych! Tam zaś, gdzie kobiety w polu kopią ziemniaki, nic o nich nie słyszano!

— Ja jestem jej matką, a nie ty. Ja też muszę decydować!

Wujek w milczeniu godzi się z niepodważalną prawdą i tylko macha ręką.

I znowu całymi dniami rozlega się donośnie nad dzieckiem słowo strachu.

— Nie chodź tam... nie rób tego... nie zrywaj tego!

— Odkurzacz! Odkurzacz! Odkurzacz!

To jest nie do zniesienia. Nawet w głowie dorosłego zagnieździłyby się zajączki, a cóż dopiero w takiej małej główce.

Wujek siedzi i zastanawia się. Każdy ma swój Odkurzacz. Taki Odkurzacz może uczynić z rozumnej pięknej i dumnej istoty, stworzonej dla radości, pracy i sztuki — coś oślizłego i strachliwego.

Sad zaś jest taki kuszący, tyle w nim niezwykłych owoców, tyle krzaków i trawiastych zarośli!. Idź do niego, tupaj tam wątłymi jeszcze na razie nóżkami!

— Odkurzacz!

Przezroczyste, nagrzane słońcem jagody. Słońce prześwietla je na wylot, zarysowując w mętnej głębinie niewyraźne kontury ziarenek. Krzak przyzywa ku sobie jak drzewo poznania. Idź więc, idź!

— Odkurzacz!!!

I ręce cofają się do tyłu. Miłe zaś oczy, błękitne jak u tamtej, robią się zastygłe. Widocznie i ją kiedyś wiele straszono. Ileż wysiłku wymagało to, by wyrosła na taką, jaką jest obecnie!

Ale oto pewnego razu, gdy brat i siostra — siedząc obok siebie — dzielili się swymi smętnymi myślami, spoza rogu domu wychodzi pewnym krokiem, trochę tylko zawijasowatym, krągła Alonka.

Brzuszek do przodu, ręce z tyłu, na buzi powściągliwy wyraz udanej obojętności.

Odmierza gospodarskie, poważne kroki.

Zbliżyła się do matki, położyła na jej kolanach piąstki, rozwarła je.

Na jej umorusanych dłoniach leży jakieś dziesięć niedojrzałych porzeczek.

Na twarzyczce rysuje się przebiegłość, chytrość.

— Mama! Durzacz!

Wujek nie panuje nad sobą. Chwyta ją na ręce, całuje jej umorusane łapki, policzki, chytruśkie oczka.

— Córeczko ty moja! Dziecko ty moje człowiecze!

UŁADZIMIR KARATKIEWICZ

JAK OBALAJĄ SIĘ BÓSTWA

Przetłumaczył z białoruskiego JAN HUSZCZA

IDEOLOGIA

JAK? HISTORYCZNIE

Myśleć historycznie — pojęcie to może sugerować sposób myślenia skierowany głównie w przeszłość.

Byłaby to sugestia błędna. Chodzi bowiem o takie myślenie, które stanowiłoby syntezę przeszłości, teraźniejszości i przyszłości, które opierając się na najlepszych wzorach przeszłości stanowiłoby motyw dla działania w teraźniejszości z myślą o przyszłości.

Wzorzec dla historycznego myślenia stanowią **„Tezy Komitetu Centralnego PZPR na Trzydziestolecie PRL"**, uchwalone przez XVIII Plenum KC PZPR. Opierając się na marksistowskiej analizie najbliższej przeszłości XVIII Plenum KC PZPR nakreśliło sugestywną wizję przyszłości.

„Wiek XX zakreśla dwa bieguny polskich dziejów: u początku stulecia niewolę, biedę, zacofanie, ucisk narodowy i klasowy, brak historycznych perspektyw, a w końcowych jego latach — wizję Polski wysoko rozwiniętej, zamożnej, silnej i szczęśliwej. Czterdziestomilionowy naród polski ostatnich lat XX wieku będzie społeczeństwem socjalistycznym o wysokiej dynamice rozwoju ekonomicznego i kulturalnego, o najwyższych aspiracjach ideowych i moralnych. Sięgamy myślą w tę przyszłość dlatego, że od trafności podejmowanych dziś decyzji zależy kształt naszego kraju w najbliższych dziesięcioleciach".

Te najbliższe dziesięciolecia nie są znów tak odległe. Za kilka miesięcy dobiegnie końca pięciolatka, a w grudniu 1975 roku VII Zjazd PZPR uchwali program działania na następne 5 lat — do 1980 roku. Do końca XX wieku pozostaną 4 pięciolecia. Nie tak dawno granicą perspektywicznego programowania był rok 1980. Dziś jest to już granica najbliższych planów, konkretnych wytycznych realnego działania, kształtowana w toku przedzjazdowej dyskusji. Przyszłość — to już lata dziewięćdziesiąte naszego stulecia. A ta przyszłość będzie zależała od trafności dziś podejmowanych decyzji, od trafności teraźniejszych rozwiązań.

Prawidłowo kształtować przyszłości nie można jednak bez oparcia w tradycji, bez właściwego zrozumienia warunków z jakich wyrosła nasza teraźniejszość. Wnikliwa analiza przeszłości pozwala nam lepiej zrozumieć konflikty, sprzeczności i kłopoty teraźniejszości.

„Rozwijanie patriotyzmu — stwierdzają „Wytyczne Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR" — **wymaga pogłębienia historycznej samowiedzy narodu, przywiązania do dziedzictwa kulturowego, do wszystkiego, co w polskich dziejach było twórcze, rewolucyjne i postępowe, co służyło rozwojowi narodu i państwa".**

Historia nasza w umyśle przeciętnego Polaka jawi się jako pasmo walk i zmagań z licznymi wewnętrznymi i zewnętrznymi przeciwnościami. Ale to jest tylko część naszej przeszłości. Ta najbardziej znana, spopularyzowana przez literaturę i film. Jest jeszcze druga część naszych narodowych dziejów, której wyznacznikiem była praca. W niedawno opublikowanej książce „Skąd przychodzimy?" Stefan Bratkowski dokonał między innymi aktu desakralizacji jednego z bohaterów narodowych, dowodząc, że był on większym... inżynierem niż wodzem. Tym bohaterem jest Tadeusz Kościuszko. Stefan Bratkowski w książce swojej w ogóle „szarga świętości", ale tylko po to, aby uświadomić opinii publicznej, że w naszej przeszłości byli ludzie, którzy swoim talentem, zdolnościami, wytrwałością i pracą budowali materialne i duchowe podwaliny naszej teraźniejszości, którzy kształtowali tradycję, na jakiej powinniśmy się również opierać, a która to tradycja jest na ogół mało znana.

W naszej społecznej świadomości zakorzeniło się wiele mitów. Odnoszą się one zarówno do przeszłości jak i teraźniejszości. Jednym z takich mitów jest swoisty „kompleks niższości" wobec innych narodów. Mit ten utrwala przekonanie, że inni potrafią wszystko lepiej, szybciej i dokładniej. Mit ten każe wyrażać podziw wobec wszystkiego, co obce i lekceważenie wobec wszystkiego, co nasze, rodzime. A właśnie głębsze, dokładniejsze poznanie naszej przeszłości dowodzi czegoś wręcz przeciwnego. Potrafiliśmy wiele i to nie gorzej niż inni. Wielu naszych uczonych, inżynierów i badaczy cieszy się uznaniem w historii nauki i techniki obcych narodów, a mało znanych jest w rodzinnym kraju.

Nie przypadkiem więc w **„Wytycznych Komitetu Centralnego na VII Zjazd PZPR"** znalazło się następujące stwierdzenie:

„W procesie formowania i pogłębiania socjalistycznej świadomości społecznej duże znaczenie mają marksistowskie analizy w dziedzinie historii, socjologii, ekonomii i kultury".

W praktyce będzie to oznaczało odejście od przyczynkarstwa, zajmowania się sprawami marginesowymi, a wejście na obszary dla naszej teraźniejszości zasadnicze, poznanie procesów i ludzi, zjawisk i postaw, które mogłyby stać się ideologiczną motywacją współczesnego działania, która miałaby nowoczesny walor wychowawczy i poznawczy. W tej dziedzinie mamy wiele do zrobienia i to zarówno w sferze badań, jak i popularyzacji wyników tych badań. Jak do tej pory obie te sfery dzieli wiele barier. Badacze niechętnie zajmują się popularyzacją, uznając tę dziedzinę twórczości za mniej wartościową. Popularyzatorów naszej przeszłości, a szczególnie tej mniej znanej, mamy mało. Poza tym między jedną a drugą sferą działalności wyrasta coraz wyższa bariera... językowa, coraz dalej odsuwająca wyniki pracy badaczy od szerszego ogółu odbiorców.

Wprowadzanie do naszej świadomości społecznej coraz to nowych elementów z przeszłości, wyrabianie powszechnego przekonania, że nasz naród w przeszłości, doświadczany licznymi przeciwnościami, potrafił dokonywać rzeczy wielkich i to nie tylko w walce z przemocą i przeciwnościami politycznymi, ma ogromne znaczenie wychowawcze, ma ogromny wpływ na teraźniejszość, którą wyznaczają ambitne dążenia do nadrobienia opóźnień i przyspieszania postępu. Czerpanie wzorów z naszej chlubnej przeszłości pomaga lepiej rozwiązywać sprzeczności teraźniejszości i budować podwaliny przyszłości.

LUCJUSZ WŁODKOWSKI

NAUKA

KRÓLOWA NAUK

Z doc. dr hab. TADEUSZEM ŚWIĄTKOWSKIM — zastępcą dyrektora d/s naukowych Instytutu Matematyki Politechniki Łódzkiej rozmawia Paweł PATORA.

— Panie Docencie, „to, co jest niezachwiane, śmiałe i istotne w najlepszych uznawanych dziś teoriach, ma charakter matematyczny" — pisał Morris Kline w książce pt. „Matematyka a świat fizyczny". Czy podziela Pan tę opinię?

— Rzetelne osiągnięcie naukowe w jakiejkolwiek dziedzinie wiedzy powinno się wywodzić z ciekawego pomysłu, opierać się na ścisłym rozumowaniu, bazującym ewentualnie na badaniach typu laboratoryjnego i wreszcie powinno być przedstawione w formie zrozumiałej i możliwej do sprawdzenia przez fachowców. Matematyka jest tą dziedziną nauki, która praktycznie musi spełniać te postulaty. Stąd utożsamia się często rzetelność teorii naukowych z ich matematycznym charakterem. Mówi się np., że coś zostało wykazane z matematyczną ścisłością, żeby podkreślić, że rozumowanie przeprowadzono w sposób nie budzący zastrzeżeń. Pewne sądy wypowiadane w teoriach naukowych mogą być rzeczywiście udowodnione w sposób niezachwiany dzięki wykorzystaniu matematyki, która zajmuje się przecież prawdami ogólnymi. Najlepsze jednak w tych teoriach będzie to, co podpowie fizykowi, biologowi, demografowi i in. twórcza intuicja, a co rozumowaniem opartym na znajomości matematyki potrafi on uzasadnić. Rzecz więc nie w stosowaniu pojęć i schematów matematycznych, a w twórczym myśleniu.

Coraz więcej nauk, jak np. medycyna, socjologia, a nawet językoznawstwo, posługują się matematyką (obliczeniami, wnioskowaniem statystycznym itd.) nieraz jednak rozumowania przeprowadzone przy tej matematycznej oprawie są dalekie od matematycznych. W dobie coraz szerszego wykorzystywania aparatury matematycznej, trzeba rozwijać to, co nazwałbym kulturą matematyczną, a nie jest z nią jeszcze najlepiej.

— W popularnonaukowej pracy R. Couranta i H. Robbinsa pt. „Co to jest matematyka", czytamy: „Bez wątpienia źródłem psychologicznym całego rozwoju matematyki są w mniejszym lub większym stopniu potrzeby praktyczne. Ale gdy rozwój się rozpoczął pod naciskiem potrzeb, to nabiera on nieuchronnie rozpędu sam przez się i wykracza poza granice bezpośredniej użyteczności" Jeśli tę, wypowiedzianą przez wybitnych matematyków, tezę przyjmiemy za prawdziwą, to nie sposób oprzeć się wątpliwościom, czy taka sytuacja nie prowadzi do tworzenia nauki całkowicie oderwanej od rzeczywistości. Czy matematyk budujący skomplikowane abstrakcyjne struktury, może mieć gwarancję, że będą one miały jakiekolwiek znaczenie poza matematyką?

— W każdej dziedzinie wiedzy, nie tylko w matematyce, początek rozważań jest związany z rzeczywistością. Stanowi ona źródło pierwszych informacji i pytań. Umysł ludzki, nastawiony od dzieciństwa na pytania w rodzaju: „co to?", „dlaczego?", w poszukiwaniu prawdy może odejść daleko od spraw codziennych, od praktyki. Stąd różne dziwactwa niektórych uczonych, narażanie życia w wyprawach polarnych, powstawanie zgromadzeń o charakterze kontemplacyjnym itp. Z pewnością matematyka, bardziej niż inne nauki, skłania do oderwania od codzienności. Uzdolniony matematyk będzie tworzył teorie dla samej przyjemności tworzenia, co do których może mieć tylko nadzieję, że znajdą praktyczne zastosowanie. Myślę, że większą szkodę, niż tworzenie teorii matematycznych bez konfrontowania ich z praktyką, może spowodować działanie praktyczne, nie konfrontowane z teorią. Warto tu podkreślić, że „skomplikowane abstrakcyjne struktury", a więc to, co jest w matematyce oceniane wysoko, są niejednokrotnie tworzeniem schematów pozwalających w uproszczony sposób ująć jednolicie wiele problemów wykraczających poza matematykę. Żeby tylko chciano to zrozumieć i wykorzystać. Na szczęście coraz częściej powstają zespoły naukowe grupujące przedstawicieli różnych dyscyplin, także i matematyków. Służą one m.in. zbliżeniu matematyki do praktyki.

— Czy zespoły takie powstają również w Politechnice Łódzkiej?

— Tak. W ostatnich latach obserwujemy coraz częstsze włączanie się matematyków do zespołów pracujących nad badaniami o charakterze technicznym. Chociaż prace naukowe prowadzone w Instytucie Matematyki PŁ mają głównie charakter podstawowy (teoria funkcji i probabilistyka), to jednak włączanie się matematyków do rozwiązywania problemów ważnych z punktu widzenia zastosowań matematyki jest dość częste. Nasza współpraca z przedstawicielami innych specjalności rozwija się owocnie. Poza tym, już od nowego roku akademickiego będziemy szkolić matematyków w określonych dziedzinach zastosowań.

— Wspomniał Pan Docent, że matematycy często „tworzą dla przyjemności". Wiadomo, że dowodzenie twierdzeń matematycznych, poszukiwanie oryginalnych metod rozumowania, dostarcza matematykom wielu przeżyć estetycznych. Przeżycia te, satysfakcje z nowych osiągnięć i pokonania trudności, to często źródła pełnego zadowolenia naukowca. W innych dziedzinach nauki pełna satysfakcja odkrywcy nowych praw następuje dopiero po stwierdzeniu ich praktycznej przydatności...

— Poruszył pan sprawę delikatną, bo dotyczącą nie matematyki, lecz matematyków. Na pewno są wśród matematyków i tacy, którzy lekceważą to, co może zrozumieć (lub „o zgrozo!" wykorzystać) nie-matematyk. Są to z reguły matematycy reprezentujący wysoki poziom i mimo takiej postawy są potrzebni. Właśnie dzięki nim następuje rozwój matematyki.

Zdobywców Kosmosu darzy się szacunkiem i uznaniem. Nikt chyba nie ocenia ich osiągnięć w kategoriach ekonomicznych mimo, że tylko częściowo doświadczenia kosmiczne mają praktyczne zastosowanie, jak meteorologia, telekomunikacja i inne. A przecież nakłady na rozwój matematyki są nieporównywalnie niższe, więc chyba oczekiwanie od matematyki bezpośrednich korzyści praktycznych nie jest uzasadnione.

— Jednak coraz częściej matematyka wkracza w sferę zastosowań praktycznych. Słyszy się też opinie, że problemy rozwiązywane na bezpośredni użytek nauk stosowanych wyznaczają w istotny sposób kierunki rozwoju matematyki.

— Niektóre kierunki badań matematycznych są tworzone z myślą o zastosowaniach praktycznych. Przykładem — teoria prawdopodobieństwa, a zwłaszcza statystyka matematyczna, czy z nowszych dziedzin — teoria sterowania, metody optymalizacji. Te dziedziny oraz informatyka, która zaczęła się już usamodzielniać, są obecnie bardzo modne, co nie oznacza jednak, że należy z nimi wiązać kierunki rozwoju całej matematyki.

— Czy można uważać, że dalszy postęp matematyki będzie polegał na rozszerzeniu obecnie istniejących dziedzin, czy też należy spodziewać się powstania całkowicie nowych teorii matematycznych?

— Na to pytanie powinien odpowiedzieć futurolog. Na podstawie dotychczasowego rozwoju sądzę, że będą powstawały nowe dziedziny i coraz bardziej będzie pogłębiać się specjalizacja.

— Postępująca specjalizacja prowadzi często do trudności w porozumieniu się dwóch matematyków pracujących w różnych dziedzinach, chociażby z powodu stosowania bardzo zróżnicowanej symboliki. Czy istnieje możliwości stworzenia jednolitej teorii obejmującej cały dotychczasowy dorobek nauk matematycznych?

— Brak wzajemnego zrozumienia między przedstawicielami różnych dyscyplin matematycznych grozi nam coraz bardziej, mimo, że jest on nieco łagodzony przez zwiększanie ilości przedmiotów wchodzących do programu studiów uniwersyteckich. Sądzę, że pełne ujednolicenie terminologii i symboliki nie jest możliwe. Próby takie kończyły się często tym, że do dziesięciu stosowanych dotąd symboli doszedł jedenasty. Poza tym nie ma potrzeby ujednolicenia teorii. Matematycy, wbrew pozorom, nie dążą do tworzenia całkiem bezwartościowych i bardzo skomplikowanych struktur, a właśnie tylko takie efekty dałoby stworzenie jednolitej teorii matematycznej.

— Matematykę można porównać ze sztuką. Podobnie jak sztuka, tworzy ona abstrakcyjne schematy, stanowi odrębny świat, rządzony specyficznymi dla siebie prawami. Czy wobec tego nie istnieje niebezpieczeństwo zerwania kontaktu z odbiorcami niektórych dziedzin matematyki?

— Matematycy dostrzegają, oczywiście, niebezpieczeństwo braku rozumienia przez innych tego, co tworzą. Rozwiązaniem problemu nie może jednak być zakaz tworzenia trudnych teorii matematycznych. Trzeba zadbać o podniesienie poziomu przygotowania matematycznego tych wszystkich (a jest ich coraz więcej), którzy mogliby z osiągnięć matematyki skorzystać. Matematyka przestanie być sobą, jeśli nie będzie się ciągle rozwijać i wzbogacać. Wartościowe w niej jest nie to, co jest wyuczone, lecz to, co jest wynikiem własnej inwencji i wysiłku. Ci, którzy ją głęboko czują, mogą „zarazić" nią innych. W matematyce ktoś niezaangażowany znajdzie tylko rejestrację faktów i myśli. Natomiast to, co stanowi jej treść, przeżyć może tylko ten, kto zaangażuje w nią i umysł i serce.

— Dziękuję za rozmowę.

SPRAWY LUDZI

JARZĘBINA

Będzie to historia pierwszego wiersza. Wyczytałem w Buddyzmie-Zen:

„...Obserwuj Próżnię, którą masz przed oczami, w jakiż to sposób możesz ją poznawać?... Gdzie powstaje przywiązanie, tam wykluczona jest mądrość..."

Co do mnie od najwcześniejszego dzieciństwa usiłowałem poznawać jesień. Nie była mi dana intuicja poznawcza jesieni zupełnej, całkowitej... Poszczególne elementy jesieni — drzewa rdzawych liści, leszczyny z pękami twardych orzechów i najbardziej przejmujące z jesiennych drzew — jarzębiny zębatych liści, jarzębiny czerwonych korali. Wsłuchany w nie byłem jak w melodię przypomnianą starej ludowej pieśni o jarzębinie. Ja te jarzębiny odnalazłem — wiedziałem od kogoś zupełnie już zapomnianego o ich istnieniu, a w wiedzy tej zawarta była niepowtarzalna wizja jarzębin, o wizji tej nie potrafię nikogo poinformować, trzeba ją spotkać we własnym, dziecinnie mądrym świecie. Zapewne każdy człowiek w substancji najwcześniejszych uczuć ma liryczną krystalizację obrazową. Dla jednego będzie to postać drogiego człowieka, zwierzęcia, rośliny, zabłysłego w pełni niepowtarzalnej konstelacji chmur księżyca, słońca w niebie, którego barwy nie umiemy nazwać i dlatego mówimy o niej „niebieska". Sprawy te najdalsze są od sentymentalizmu i od fosforycznego zimna najdalszych wspomnień. To składniki pierwszego wiersza, jego źródła, wszystko jedno czy wiersz ten nazwiemy pierwszym czy pierwotnym, czy zostanie on przeżyty i wypowiedziany, czy tylko przeżyty — tak czy inaczej autorstwo osobnicze jest niewątpliwe...

Inwentaryzowałem psychikę wielu ludzi i wszędzie, u każdego odnalazłem siły poetyckie. Człowiek jest poetą — pieśniarzem elementarnym — to konieczny motyw człowieczeństwa, motyw wypowiadany znacznie częściej w sprawach, które nie są wierszami, niż w wierszach.

Cytowany w pierwszych słowach klasyk Buddyzmu-Zen właśnie wypowiedział paradoksalnie, przez negację w tych słowach, przeznaczonych dla nieznanego nam dzisiaj ucznia swoje jądro liryczne. Historia mojego pierwszego wiersza jest krótka — jesienią zobaczyłem rosnące w szeregach jarzębiny i stwierdziłem, że znam je z czyjejś ogromnej opowieści nieskończenie dawno i ta świadomość napełniła mnie cierpieniem przez moment zdumiewającym, a potem świadomym, że właśnie w tej chwili przeobrażam się całkowicie, rodzę ponownie. Ubogą notacją tego doświadczenia jest przed trzydziestu laty napisany wiersz:

Zębate liście smukłych jarzębin
Strzegą ukryte w drzewie korale
Liście rozgarnę sięgnę do głębi
Do głębi może lub jeszcze dalej

Ta jarzębina czarno-zielona
Szumiąca w własnym pogodnym
niebie
Cóż ona kryje cóż ona chowa
Oprócz korali i oprócz siebie

BERNARD SZTAJNERT

HISTORIA OBYCZAJÓW XV

MIŁOŚĆ, OBOJĘTNOŚĆ I NIENAWIŚĆ

ZBIGNIEW KUCHOWICZ

8 maja 1551 roku, w czwartek, w dniu świętego Stanisława, królowa Barbara, kierując się nieomylnym przeczuciem śmierci, postanowiła pożegnać się ze światem. Prosiła o wcześniejsze odprawienie mszy, a następnie wyspowiadała się, przyjęła komunię i ostatnie namaszczenie. Dokonała praktyk, jakie jej nakazywała zaszczepiona w dzieciństwie wiara. Nie konała przecież jak dewotka czy pokutnica, nie kazała modlić się za siebie i palić gromnic. Odprawiła dworzan i księży, pozostała z Augustem. Miała go przy sobie w ostatnich godzinach życia, sprawdziły się słowa królewskie, że nie opuści żony do śmierci. Umierała spokojnie i przytomnie. Wycieńczony i przeżarty chorobą organizm nie powodował nawet większych bólów, ogarniała ją tylko coraz większa słabość. Przyjętym obyczajem wypowiedziała ostatnią wolę, raz jeszcze prosiła, by pochowano ją w Wilnie. (Informacje, jakoby prosiła Augusta, by po jej zgonie ożenił się i dla dobra państwa zapewnił ciągłość dynastii, nie są wiarygodne, wersje takie powstały najprawdopodobniej wiele lat później). Król potwierdził swą obietnicę. Po tym jakby uspokoiła się, jeszcze bardziej osłabła, leżała w półśnie. Tak przebiegały ostatnie dwie godziny jej życia.

Wiele wskazuje na to, że jej ostatnie myśli należały do ukochanego. Baliński, za nim inni, cytuje jakiś, rzekomo współczesny anonimowy rękopis, wedle którego Barbara zmarła w objęciach Augusta: „mdlejącymi rękami za szyję go objąwszy, usta jego przycisnęła do swoich i podniósłszy ku niemu oczy łzami zalane (...) Bogu ducha oddała". Wydaje się, że opis ten jest nieprawdziwy, wyimaginowany. Barbara po prostu nie miała już sił, by objąć męża, inaczej umiera się na jej chorobę.

Przyszło południe. Śmierć jak gdyby czekała na uderzenie zegara. Królowa Barbara przestała cierpieć.

Kroniki nie podają, jak król zachował się w tym momencie. Następnie jednak z całą energią i starannością, jak nakazywały obyczaje, zajął się uczczeniem jej pamięci. Znamienne, że prowadził ożywioną korespondencję dotyczącą spraw zmarłej. Widać odczuwał potrzebę mówienia i pisania na jej temat. Nazajutrz po zgonie pchnął gońca do Mikołaja Rudego Przemyślan i wydał polecenia dotyczące szczegółów ceremonii pogrzebowych. W sobotę, 10 maja, zwłoki Barbary odziane w czarną atłasową suknię złożono do wybitej złotogłowiem trumny. Czoło jej uwieńczono pozłacaną koroną, w prawą rękę włożono berło, w lewą jabłko królewskie z krzyżykiem, na szyi zawieszono złoty, pięknej roboty łańcuch, na palec zatknięto drogocenny pierścień. Owczesnym zwyczajem do trumny włożono srebrną tabliczkę, która krótko informowała o zmarłej. „Roku Pańskiego 1551 najjaśniejsza księżna Barbara z łaski Boga królowa Polski, Litwy, Rusi, Prus itd. pani z rodu Radziwiłłów zrodzona, druga małżonka najjaśniejszego księcia, pana Zygmunta Augusta z łaski Boga króla Polski, wielkiego księcia Litwy itd., w roku wieku swego dwudziestego ósmego jeszcze nie ukończonego, w Krakowie dnia ósmego miesiąca maja dokładnie o godzinie 14 przedwczesną śmiercią przyjęta do nieba tu pogrzebana leży". *).

Tegoż dnia ozdobione insygniami królewskimi ciało Barbary wystawiono na widok publiczny w zamkowej sali. Biskup w asyście księży odprawił przy nim solenne żałobne nabożeństwo, po czym zamknięto wieko trumny. Król ogłosił, że Barbara zostanie pochowana w Wilnie. Decyzja ta wzbudziła zdziwienie i rozmaite komentarze. Przede wszystkim oponowali Radziwiłłowie, chcąc by ich siostra jako koronowana królowa spoczęła w grobach królewskich na Wawelu. W decyzji przewiezienia jej na Litwę dopatrywali się ujmy. Głosili, że opinia będzie uważała, iż Barbara była niegodna spoczywać obok szczątków innych monarchów. W istocie chodziło im o prestiż, splendor własnej rodziny, nasycenie magnackiej pychy. Zygmunt August jednakże okazał zdecydowanie. Przewożąc ciało do Wilna kierował się przede wszystkim ostatnią wolą zmarłej, powoływał się także na „własne przyczyny"; zdaje się, że w tym momencie, co zresztą później potwierdził w testamencie, postanowił, aby pochowano go nie w Krakowie, lecz także w Wilnie, obok szczątków Barbary, w mieście, w którym przeżył z nią szczęśliwe lata. Kraków, mimo jego wysiłków, nie okazał Barbarze głębszej życzliwości, stąd też natretnym Radziwiłłom oświadczał: „Przeto gdy żywej wdzięczni być nie chcieli, nie zdało się nam, abyśmy między tak niewdzięcznymi ludźmi umarłą chować mieli".

Nierychło rozstał się z jej szczątkami. Dwa tygodnie stała trumna Barbary w wawelskich komnatach, co dzień odprawiano przy niej msze i modły, co dzień król długie godziny spędzał przy katafalku, trawiąc je w bólu i płaczu. 25 maja, w poniedziałek, nastąpiło przeniesienie ciała z zamku do katedry krakowskiej.

W świątyni odbyły się solenne egzekwie za duszę zmarłej, celebrowane przez dwóch biskupów i liczny kler. Po długich, z przysłowiową pompą odprawionych uroczystościach, trumnę włożono do karety, jak wtedy mówiono — kolebki, i wieczorem wywieziono z Krakowa. Z obu stron wozu żałobnego kroczyli odprowadzający kondukt za mury miasta niedawni oponenci: marszałek Piotr Kmita i wojewoda sieradzki Jan Spytek Tarnowski. Król do ostatka czuwał, by nikt nie uchybił cieniom królowej, stąd właśnie te ceremonie i obecność dygnitarzy. Można jednak przypuszczać, że wszystkie uroczystości i frekwencja były narzucone i wymuszone. Kraków żegnał Barbarę chłodno, nic nie słychać, by żałowano zmarłej. Baliński pisze ogólnikowo o żalu i skrusze pośród społeczeństwa całego kraju. Jego wypowiedź stanowi jednak tylko pobożne życzenie, w istocie było zupełnie inaczej.

Królowej w ostatniej drodze towarzyszyło kilku koronnych dygnitarzy, grono dworzan oraz pań dworskich ze swymi świtami. Ze znamienitszych, nie licząc jej ochmistrza Maciejowskiego, można było wymienić jedynie podkanclerzego koronnego Jana Przerębskiego. Polska elita feudalna tylko z daleka obserwowała ceremonie pogrzebowe. Pierwszymi etapami żałobnego orszaku były Proszowice, Szydłów, Łagów, Słupia, Trzebieszów.

Pogrzeb Barbary stanowi odbicie różnych postaw, złożoności życia. Można przedstawiać go w rozmaitych aspektach: z jednej strony zbolałego, nagle postarzałego Augusta, z drugiej strony obojętnych, nie zamierzających rezygnować z wygód życiowych dworzan, z trzeciej wreszcie, od strony wrogów Barbary, wydziwiających na okazywane jej cieniom hołdy. Miłość, obojętność i nienawiść szły obok jej trumny. Nim przypomnimy wzruszające reakcje Augusta, należy kilka słów powiedzieć jednak o tych zwyczajnych, życiowych sprawach, które swą przyziemnością nawet rażą, lecz, niestety, towarzyszą żegnaniu nawet najukochańszych zmarłych.

Długa podróż wymagała zabezpieczenia ciała przed rozkładem, nie znany szerzej jest fakt, że w tym celu szczątki Barbary zalano wapnem. (Resztki wapna znaleziono w trumnie, gdy prawie po czterystu latach odkryto grób). Dworzanie królewscy otrzymali specjalne sumy na zakup stosownego do uroczystości pogrzebowych czarnego sukna. Przeglądając rachunki dworskie z okresu, gdy odprowadzano królową, można stwierdzić, iż tryb życia dworaków nie uległ zmianie, znaczne sumy wydawano no korzenie, aromaty, wina. Wszystkie wydatki były skrupulatnie notowane. Razem wydano na wywiezienie ciała, pogrzeb i żałobę znaczną na owe czasy sumę 9416 florenów.

Baczono także, by nic nie zagrażało uczestnikom konduktu. Zygmunt August przed wyruszeniem w drogę zasięgnął rady swego nadwornego astronoma Proboszczewicza, który wyczytał w gwiazdach, że król powinien w drodze, a szczególnie gdy będzie w Brześciu, strzec się ognia. A ponieważ pod strażą Mikołaja Czarnego przebywała w Brześciu czarownica królowej Bony, August w obawie, by swymi praktykami nie przeszkodziła w pogrzebie, polecił Radziwiłłowi odesłać ją do Dubinek, odkładając wykonanie wyroku do swego przyjazdu do Wilna.

Należy dodać, że pogrzeb przypadł na ciężki, zły rok. Kronikarz Łukasz Górnicki zapisał: „Tego roku był głód wielki i siła ludzi od głodu pomarło". To lakoniczne stwierdzenie prawdopodobnie z trudem trafia do świadomości dzisiejszego czytelnika. Dziś trudno bowiem nam pojąć grozę tych strasznych, głodowych lat, podczas których spotykało się ponure, przysłowiowo dantejskie sceny upodlenia, nędzy i śmierci towarzyszące losowi tłumów. Pogrzeb Barbary, który w dodatku miał miejsce na przednówku, nie mógł wzruszyć głodujących mas. Śmierć kosiła wtedy tak gęsto, że jeszcze jedna trumna, aczkolwiek królewska, nie stanowiła czegoś niezwykłego. Uprzytomniała im tylko głoszoną wtedy maksymę, że śmierć jednako ścina chłopów i królów. Najprawdopodobniej zazdrościli dostatku, jakim opływał mijający ich orszak. Ci strojni, syci, rozparci w karetach ludzie stanowili dla biedaków istoty z przysłowiowo innego świata. Nie wiem, czy ich podziwiali, czy nienawidzili, w każdym bądź razie źródła nic nie mówią, by okazywali żal z powodu śmierci królowej.

Setki kilometrów musiał przebyć żałobny kondukt. Minął prawie miesiąc, nim osiągnął litewską stolicę. Karetę, z umieszczoną w niej trumną, ciągnęły konie czarnej maści, gdy ustawały znużone, zmieniano je na inne lub kupowano nowe za każdą cenę. Za trumną jechał konno, czarno ubrany, złamany bólem i nieszczęściem, król. W każdym mieście i miasteczku, w każdej wsi zsiadał z rumaka i szedł pieszo za karetą wiozącą szczątki Barbary. W słońcu czy deszczu brnął przez pył lub błoto wsi i miast, szedł nie jak pyszny władca, lecz po prostu zrozpaczony, przybity bólem człowiek. Nie krył, nie maskował swej żałoby przed oczami poddanych. Może pierwszy raz w swym życiu poczuł więź z przysłowiowym szarym, głodującym człowiekiem, z którym los zrównał go w obliczu śmierci.

Król na każdym kroku okazywał dowody delikatności uczuć. Sprzeciwiał się na przykład, by duchowieństwo z biskupami witało go dawnym zwyczajem w polu, przed bramami Wilna. Uważał, iż w tych okolicznościach jest niestosowne przyjmować takie dowody czci, polecił, by witano go dopiero u bram katedry. Godził się jednak, że po drodze, już kilkadziesiąt mil od Wilna, w Rudnikach, Mostach, Olkienikach spotykali go panowie litewscy, którzy następnie towarzyszyli konduktowi. Wiózł tedy swą Barbarę w tłumie wielmoży, dworzan i żołnierzy, wprowadził ją do Wilna jak prawdziwą Wielką Księżnę i królową.

D.c.n.

*) Odpis łacińskiego tekstu tabliczki, sporządzony w 1931 roku w Wilnie, użyczył mi łaskawie prof. L. Slendziński. W tekście podano, że Barbara zmarła o godzinie 18, co oznacza obecną godzinę 14. (przyp. aut.).

SŁOWNIK PISARZY ŁÓDZKICH

JERZY WALEŃCZYK

Urodził się w Łodzi w roku 1927. Studia filologiczne na Uniwersytecie Łódzkim ukończył w roku 1952. Pierwsze wiersze i przekłady ogłasza w latach 1947—1948 na łamach tygodnika społeczno-literackiego „Wieś" oraz „Kuźnicy". W połowie lat pięćdziesiątych odegrał istotną rolę w życiu literackim kraju jako animator ruchu młodopoetyckiego. Z dziedziny poezji opublikował: „Wino półsłodkie" (1957), „Blaszany kogut" (1959), „30 wierszy" (1961), „Biały telefon" (1965), „Dyliżans" (1969) oraz „Wybór wierszy" (1975); z prozy „Sześcienna cisza zmierzchu" (1962), „Uliczka dobrych ludzi" (1964) oraz „Źdźbło trawy i gwiazda" (1970). Jest laureatem Festiwalu Młodej Poezji w Poznaniu. Wiersze jego tłumaczono na języki: angielski, niemiecki, szwedzki, słowacki i białoruski.

Pomysł wydania „Wyboru wierszy" Jerzego Waleńczyka należy z pewnością zaliczyć do cennych inicjatyw łódzkiej oficyny. Pozycja poety, mimo iż od kilku lat krytyka jego nazwisko obchodzi milczeniem, jest znacząca w dziejach polskiej poezji ostatniego trzydziestolecia. Dobrze więc się stało, że przypomniano tę twórczość w sytuacji, gdy i sam poeta milczy już od pewnego czasu.

Przypomnienie niezbędne, bowiem szybko zapomina się o pionierskich próbach dokonywania wyłomu w pojmowaniu roli i znaczenia poezji, próbach, które zadecydowały o losach polskiej Kaliope po roku 1956. Nazwisko Waleńczyka było głośne pod koniec lat pięćdziesiątych, w okresie „Wina półsłodkiego" oraz „Blaszanego koguta", kiedy tomy te uznała opinia krytycznoliteracka za wysoce artystyczny i jednocześnie głęboko ideowy głos pokolenia, którego młodość przypadła na pierwsze dziesięciolecie powojenne. Poeta zaskoczył czytelnika wychowanego na wzorcach skamandryckich lub awangardowych realiami wielkiego miasta i cywilizacji przemysłowej i zarazem zdumiewającym dystansem wobec nich. Novum tej poezji zasadzało się i na inspiracjach poezją anglosaską, mającą — z wyjątkiem epoki Byrona — nikły wpływ na profil naszej poezji. Kiedy więc w Polsce odwoływano się do awangardy krakowskiej i lubelskiej, kiedy Gałczyński po śmierci przeżywał drugą młodość, kiedy doświadczenia francuskich nadrealistów przyjmowano za rewelację, Waleńczyk zdecydował się na wybór zgoła odmiennej tradycji, tradycji, w której jest miejsce na dyskurs, pastisz, traktat moralistyczny i poetycki, na groteskę i realizm magiczny. Nie pierwsze to wprawdzie pióro na polskim gruncie uprawiające tak wielką ilość form poetyckich: warto w tej chwili zrobić repetycję z poezji renesansowej i barokowej, nie sposób zapomnieć o autorze „Ocalenia". Niewątpliwą jednak zasługą łódzkiego poety było urozmaicenie dość monolitycznego wzorca liryki współczesnej.

Podjęcie tak znamienitej, idącej przez wieki pod wybitnymi piórami, tradycji należy poczytać za akt odwagi intelektualnej, istotą swą tkwiącej w gruntownej wiedzy i mistrzowskim opanowaniu warsztatu poetyckiego. O wyrafinowaniu estetycznym tej poezji pisano wiele. Różnorodna aluzyjność (historiozoficzna, kulturowa, polityczna), swobodne przepływy obrazów, rozluźnione toki skojarzeniowe poświadczają wysokie umiejętności operowania mową wiązaną, przemawiając równocześnie za tym, że poezja Waleńczyka spełniała wszelkie warunki poetyki dzieła otwartego, tego więc, któremu teoretycy i krytycy poezji rokują dziś przyszłość. Waleńczyk zaczął zatem od bardzo wysokiego pułapu, który okazał się dlań pułapką. Ale o tym za moment.

Wiele z dawnych wierszy, zwłaszcza z pierwszych dwóch zbiorów, straciło już dziś na ostrości wyrazu i czyta się je jedynie jako dokument literacki epoki. Fascynacja kawiarnianym życiem, egzystencjalistyczną modą, zachodnioeuropejskim filmem, swobodą obyczajową wszystko to niewątpliwie składało się na pejzaż nie tylko zewnętrzny, ale i wewnętrzny ówczesnego młodego pokolenia. Nie zaświadczało to jednak o historycznej jego obecności. Odpiszmy to na konto snobizmu, z pewnością nieszkodliwego, będącego rekompensatą zacofania kulturalno-obyczajowego pierwszego dziesięciolecia. A przecież pokolenie to skazane zostało przez historię na noszenie janusowego oblicza, przy czym to drugie, właściwe mogło odsłonić dopiero po Październiku. Tedy też nastał czas rozrachunków z własną młodością, pełną „przysiąg bez doświadczenia", z młodością o której z goryczą powie poeta:

Więc tyle lat chodziłem z bzdurą w sercu,
Bzdurze niosłem cukierki i kwiatki,
30 godzin na dobę
I
Najlepsze moje lata 20—25.

(„Mój przyjaciel")

Trzeba było na nowo wymierzyć proporcje między szczęściem jednostki a dobrem ogółu. „Śpiew dla Rzeczypospolitej" z „Blaszanego koguta" jest chyba najlepszym świadectwem na to, jak trudna droga wiedzie do patriotyzmu i że miłość do ojczyzny — sparafrazujmy Norwida — jest także dwuskrzydlata: od uwielbienia do wzgardy:

Oni cię jeszcze nie przywykli kochać,
W szafy, gdzie było pismo, stawiają alkohol,
Klnąc ciebie głośno, zazdroszcząc sąsiadom,
Marząc, że dnia któregoś na zawsze wyjadą.
Rzeczypospolito! To są twoje syny,
Noc chociaż krótka złudzenia wydarła,
A teraz przepłukują swe ochrypłe gardła.
Matką bądź dla nich. Nie w nich szukaj winy.

Z latami poszerzał się krąg tematyczny wierszy, jak też i zagęszczała się zawartość refleksyjna, natomiast następowało rozluźnienie rygorów formalnych, które z kolei miało wpływ na spadek ekspresji poetyckiej. Problematyka społeczno-patriotyczna poczęła ustępować miejsca uniwersalnym aspektom kondycji ludzkiej. Groteska i wynikająca z niej ironia chroniły poetę przed patosem, wyznaczały dystans liryczny. Nadmierne jednak ich stosowanie stało się konsekwencją relatywistycznego pojmowania rzeczywistości. Stąd, poszczególne partie wierszy są doskonałe w swym mistrzowskim wyrazie, natomiast jako całość kompozycyjna budzą pewne zastrzeżenia. Trudno w ogóle zrekonstruować światopogląd poetycki Waleńczyka na podstawie „Białego telefonu" i „Dyliżansu", Wprawdzie znajdziemy kilka zasadniczych składników jego wizji świata: zagubienie jednostki w anonimowym tłumie, stressowe samopoczucie, poszukiwanie krainy łagodności — Arkadii, świadomość totalnego zagrożenia podstaw ludzkiej egzystencji ze strony cywilizacji technicznej, itp. Nie umiem jednak znaleźć jednej osi ideowo-artystycznej dla tych wierszy. Tę rozbitą świadomość, która świetnie chwyta rzeczywistość in statu nascendi, ale która nie usiłuje panować nad ową rzeczywistością ilustruje pełniej proza poety, ograniczająca się do jednego gatunku — opowiadania. I tu także groteska wiedzie prym.

Większość opowiadań osnuta jest na autobiografii, przy czym czasy dzieciństwa przedwojennego i okupacyjnej młodości, zajmują uprzywilejowane miejsce. Warto również zaakcentować szczególnie fakt, że Waleńczyk jest piewcą Łodzi, jej ulic szarych i brudnych podwórzy, Łodzi robotniczej, jarmarcznej, przedmiejskiej i śródmiejskiej. Zna ją doskonale, bo jest jej dzieckiem, a celność jego prozy polega m. in. na umiejętnym wychwytywaniu charakterystycznych, niepowtarzalnych na innym gruncie szczegółów. Proza jego udowadnia przeto, że Łódź w dalszym ciągu wyróżnia się spośród innych miast egzotycznym klimatem społecznym, wręcz mozaikowym, jeśli chodzi o układy i stosunki społeczno-obyczajowe.

Niezależnie od tych zastrzeżeń powodujących, że nie mogę zaakceptować dzieła Waleńczyka w całości, nie sposób nie dopatrzyć się symptomów konsekwentnej postawy artystycznej. Mówi pełnym głosem w przeciwieństwie na przykład do poetów Awangardy Krakowskiej, których poezja — jak określił wybitny poeta — była „mową przez zaciśnięte zęby", wyzwala poezję z „zalewu metafor" po to, by wiersz był jedną metaforą człowieczego losu. Daleki jest od artystowskiej postawy, świadomie miesza język kolokwialny z artystycznym, stosuje niemal wszystkie środki wypowiedzi lirycznej, eksperymentuje. Ryzyko to wypływa z dużej samowiedzy artystycznej i dlatego zasługuje na wnikliwszą uwagę krytyki.

ZIEMOWIT SKIBIŃSKI

NASZ ŚWIAT

TRITICALE I INNE CUDA

Sprawy seksu traktowane były od najdawniejszych czasów bardzo rygorystycznie. Żyto nie zadawało się nigdy z pszenicą, choćby łany ich blisko sąsiadowały ze sobą – pisze w „Sternie" Ulrich Schippke. **– Ale teraz zrezygnowały z oporu. Naukowcom z Międzynarodowego Instytutu Uszlachetniania Zbóż w Meksyku udało się – za pomocą triku i chemii – ożenić żyto z pszenicą i wyprodukować roślinę, której nigdy dotąd nie było na świecie – żytopszenicę.**

Osobliwy bastard, ochrzczony „triticale" wydał w lecie 1968 roku wszystkiego sześć kłosów. Ale nieliczne ziarna tych pierwszych roślin tak się od tego czasu rozmnożyły, że w roku ubiegłym na farmach badawczych w 52 krajach można było obsiać nimi 400 tysięcy hektarów ziemi. Stworzone przez człowieka zboże — zdaniem ekspertów ONZ „lepsze od dzieła natury" — zaczyna przewyższać tradycyjne uprawy zbożowe.

Mniej więcej w tym samym czasie, gdy w Meksyku udało się wyprodukować żytopszenicę, w instytucie hodowlanym w Tracy (Kalifornia) narodziło się zwierzę o dziwnym wyglądzie — „beefalo", krzyżówka krowy z bawołem. Zwierzęta te, różniące się od siebie jak człowiek od małpy, również nie miewają ze sobą potomstwa w warunkach normalnych. Jednakże naukowcy dokonali zapłodnienia w retorcie, wyłączając mechanizmy blokujące. Nowo stworzone beefalo — dające lepsze mięso, ale pod względem pokarmu mniej wymagające od wołu — stanowią już pokaźną trzodę liczącą 10 tysięcy sztuk.

Z ZSRR donoszą o nowych cytrusach — cytropomarańczach (krzyżówka cytryny z pomarańczą). Anglia może pochwalić się pierwszymi „syntetycznymi" zwierzętami, które mają po dwóch ojców i dwie matki. Na Zachodzie dokonuje się eksperymentów, które pewnego dnia doprowadzić mogą do wyprodukowania „kartopomidora", rośliny, która pod ziemią dawać będzie kartofle, a nad ziemią — pomidory. Naukowcy amerykańscy marzą nawet o kurze, która znosiłaby codziennie dwa jajka, albo o superkrowie, którą można by „powielać" jak na kopiarce. Na całym świecie naukowcy zabrali się do urzeczywistnienia ambitnego przedsięwzięcia: chcą zlikwidować głód na Ziemi, wyposażając rolnictwo w nowe rośliny i zwierzęta użytkowe (...)

Na kuli ziemskiej pleni się 380 tysięcy gatunków roślin. Niektóre z nich odznaczają się wysoce interesującymi właściwościami. Opierają się mszycom, mogą wykorzystywać słoną wodę morską, są odporne na określone choroby, posiadają cechy, które — przeniesione na rośliny użytkowe — powodowałyby w rolnictwie jedną rewolucję za drugą.

Naukowcy znaleźli już pierwszą metodę przenoszenia atrakcyjnych cech roślin dzikich na rośliny uprawne. Ich trik polega na tym, że nie krzyżują już roślin przez zapylanie, lecz przez łączenie komórek w retorcie. Procedura ta jest w zasadzie prosta. Już ponad dziesięć lat temu fizjolog amerykański Steward wykazał, że roślina nie musi powstawać z nasienia. Odciął cienki płatek marchwi, podzielił go na poszczególne komórki i hodował je w mleku kokosowym. Rezultat: z komórek powstały nowe marchewki.

To właśnie odkrycie wykorzystali inni uczeni, by stworzyć nową technikę krzyżowania. Przedsięwzięcie udało się. Naukowcy mieszają dziś w retortach wszystkie niemal rośliny: komórki kapusty z komórkami rzodkiewki, komórki fasoli z komórkami wiśni, komórki traw z komórkami jodły. Większość takich mieszanych komórek można skłonić do rozrostu przynajmniej przez pewien czas. Wyprodukowano też z mieszanych komórek kompletne rośliny — udało się to na przykład prof. Melchersowi z Instytutu Maxa Plancka w Tybindze.

Nowe krzyżówki mogły przynieść nieoczekiwany postęp w rolnictwie. Oto przykład: o wzroście rośliny decyduje to, jak potrafi ona wykorzystywać światło słoneczne. Istnieją chwasty, które są pod tym względem trzy razy zręczniejsze od zbóż. Gdyby łączenie komórek doprowadziło do przeniesienia tylko tej jednej właściwości na rośliny uprawne, byłby to nieoceniony przełom w rolnictwie. Naukowiec amerykański Jean L. Marx sądzi, że „plony wzrosłyby co najmniej o 50 procent" (...)

Nie tylko rośliny uprawne, ale i zwierzęta hodowlane mają ulec „przebudowie". Eksperymenty w tej dziedzinie są co najmniej równie zdumiewające.

Sztucznie kojarzy się zwierzęta nie przynależące do siebie biologicznie. Z bawołu i krowy powstał beefalo, z kaczki i gęsi — kaczkogęś (wyprodukowana ostatnio w NRD). Najważniejszym wydarzeniem najbliższych lat może okazać się jednak nie tyle produkcja nowych zwierząt, ile rozwój nowej techniki rozmnażania, zwanej klonowaniem.

Najłatwiej będzie wyjaśnić, o co tu chodzi, na przykładzie krowy „Corinny". Żyje ona w Roaring Springs (USA). Odwiedziło ją ostatnio dwa tysiące pełnych podziwu farmerów. Zwierzę ustanowiło w ubiegłym roku absolutny rekord wśród mlecznych krów Ameryki. Dało ono 42 tysiące litrów mleka, to znaczy 120 litrów mleka dziennie. Normalna, dobra krowa daje rocznie 10 tysięcy litrów.

Dotychczas nikt nie był w stanie celowo wyprodukować ponownie takiego superzwierzęcia. Potomstwo było bowiem zawsze mieszanką dwóch zwierząt, samicy i samca. Nikt nie mógł przewidzieć, jakie będą tego efekty. Uczeni chcą w przyszłości zatrzymać tę ruletkę życia. Pragną odtworzyć najdokładniej dzielną „Corinnę" i inne superkrowy, skopiować

Fot.: Archiwum

je w ściśle takiej samej postaci, nie raz, lecz tysiąc, dziesiątki tysięcy razy.

Klucza do tego cudu dostarczył eksperyment przeprowadzony przez zoologa brytyjskiego, dra Johna Burdona z Oksfordu, na małej żabie afrykańskiej. Pobrał on z ciała zwierzęcia kilka normalnych komórek. Z jednej z nich wydobył pod mikroskopem zmagazynowaną w jądrze substancję dziedziczną i przeniósł ją do jaja żaby, z którego usunął uprzednio takąż substancję. Z jaj rozwinęła się zupełnie normalna żaba, która „dziedziczyła" wszakże tylko i wyłącznie cechy osobnika, od którego pochodziła substancja dziedziczna, była też podobna do niego w każdym calu (...)

Komórki jajowe, „zapłodnione" substancją dziedziczną „Corinny", umieści się w aparaturze wylęgowej. Powstaną miniembriony, które się zamrozi. Fizjolog z Cambridge, dr David G. Whittingham, dowiódł eksperymentalnie, iż embriony zamrożone w temperaturze minus 196 stopni można przechowywać miesiącami. Rozmrożone żyją dalej.

Zamrożone embriony można rozsyłać na cały świat. Farmerzy będą je kupować tak, jak kupują dziś nasiona zbóż, albo sadzeniaki. Specjaliści umieszczą zamrożone embriony w macicach zwykłych krów, które je „donoszą". Wydadzą one na świat cielęta, stanowiące najdokładniejsze kopie „Corinny" — z tą samą fenomenalną wydajnością 42 tysięcy litrów mleka rocznie (...)

Fot.: E. Kudaj

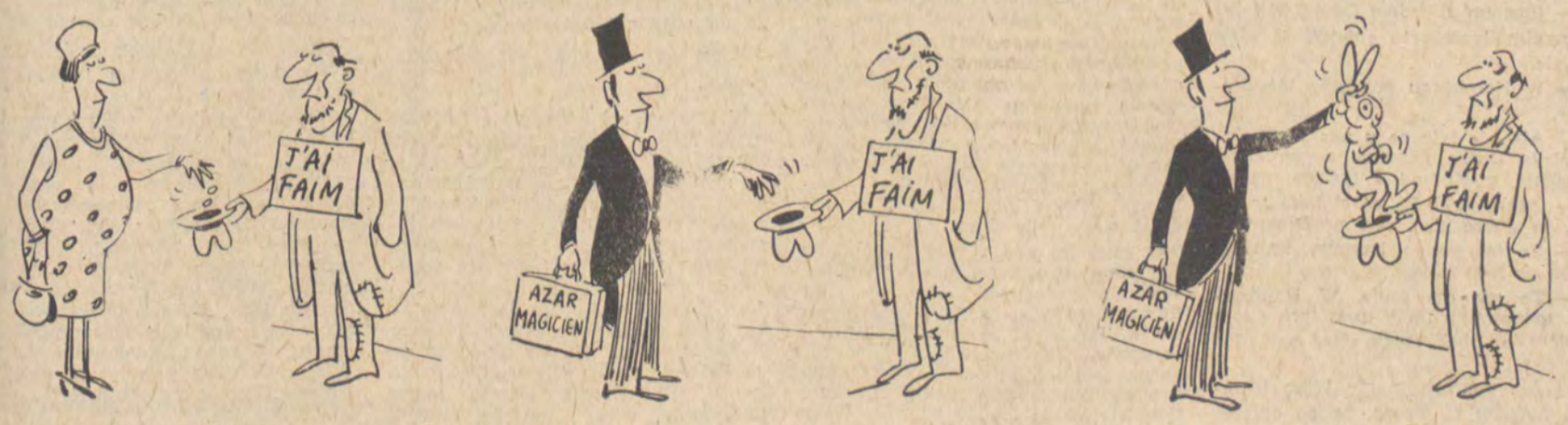

LISTY DO REDAKCJI

„ASYMETRYCZNA DAMA"

Stwierdziłem pewne nieścisłości w felietonie Rafała Orlewskiego „Asymetryczna dama". Nieścisłości te dotyczą śmierci St. I. Witkiewicza.

St. I. Witkiewicz popełnił samobójstwo w nocy z dnia 17 na 18 września 1939 roku przez przecięcie żyletką tętnicy na szyi. Bardzo się męczył. Towarzyszka ucieczki wojennej, pani K., usiłowała również popełnić samobójstwo przez zażycie środków nasennych, ale ją odratowano.

Wieś Jeziory, do roku 1939 terytorialnie należąca do gminy Wysock (35 km) pow. stolińskiego. Najbliższa stacja kolejowa — Biała n/Horyniem. Baranowicze oddalone są od wsi Jeziorny w linii prostej 250 km, koleją z dojazdem do stacji kolejowej 350 km.

St. I. Witkiewicz popełnił samobójstwo w lesie, nad jeziorem, w odległości około 200 m od miejscowej leśniczówki, w której czasowo kwaterował. Szczegóły śmierci podane przez Władysława Terleckiego w powieści „Gwiazda Piołun" również są błędne.

R. Ch.
(nazwisko i adres znane redakcji)

NAJLEPSZY JEST KAJAK

Wielu, wielu ludzi narzeka na Polskie Koleje Państwowe. Narzekają, że opóźnienia, że brudno w wagonach itd. Ale jak tu nie narzekać, kiedy żeby się dostać z Olsztyna do Mikołajek trzeba dokonywać cudów. Oczywiście ludzie bez bagażu lub z małym, mogą tę podróż odbyć dość szybko. Gorzej gdy ktoś chciał dostać się do Mikołajek z kajakiem. Mowy nie ma aby pojechał. Trzeba uciekać się wtedy do podstępu. A to dlatego, że za żadne skarby ekspozytura bagażowa nie przyjmie tego rodzaju bagażu. Nie przyjmie, bo pociągi jeżdżące na tej trasie nie mają w swoim składzie wagonu bagażowego. Straciliśmy na rozmowy cały dzień, oczywiście bez skutku. Na końcu spotkanie z zastępcą naczelnika stacji. Próbujemy wytłumaczyć, że stacja jest zobowiązana przyjąć bagaż. Przecież pasażerów nie obchodzi dlaczego nie ma wagonów bagażowych. Jest to trasa, na której ludzie przewożą różnego rodzaju sprzęt turystyczny, nie zaliczający się do bagażu podręcznego. W końcu p. naczelnik oświadczył, że trzeba było od razu w Toruniu nadać bagaż do Mikołajek, a nie do Olsztyna. Wpadliśmy na pomysł, żeby zgodnie z radą p. naczelnika przesłać nasz bagaż z innego miasta. Pojechaliśmy więc do Ostródy (tam jeżdżą pociągi z wagonem bagażowym) dopiero z tego miasta przesłaliśmy nasz bagaż do Mikołajek.

Po trzech dniach kajak dotarł na miejsce przeznaczenia. Jednak pan naczelnik znalazł sposób na przewiezienie bagażu. Straciliśmy na te manipulacje pięć dni. Tym samym zawaliły się nam plany wakacyjne. Całe zamieszanie wynikło z tego, że w Toruniu nie można wypłacić po godzinie 20 pieniędzy z książeczki PKO. Wszystkie poczty są zamknięte. Tak samo do godziny 20 czynne jest okienko „Wpłaty i wypłaty" na Dworcu Głównym w Toruniu. A nam po prostu brakło pieniędzy by opłacić bagaż do Mikołajek.

Mimo tych niepowodzeń w czasie podróży, zalecam wszystkim turystykę kajakową jako najlepszy wypoczynek i odnowienie zwiotczałych mięśni.

Z poważaniem
JERZY MARCJANIK
(Łódź)

„WĄTŁA GRANICA WYOBRAŹNI"

Granica wyobraźni Marcina Rodaka nie jest znów tak bardzo „wątła". Wprowadza on czytelnika „Odgłosów" w arkana możliwości zastosowania biopradów wydzielanych przez człowieka z pożytkiem dla człowieka, podając fantastyczny przykład, aby pod wpływem zmarszczenia brwi, mógł kierowca samochodu zatrzymać pojazd o najbardziej zmniejszonym torze hamowania.

Ze swej strony zgłaszam dwa inne pomysły:

Po co trudzić kierowcę, żeby mrugał powiekami przed przeszkodą, aby biopradv zatrzymały wóz. Łatwiej zainstalować w przodzie maski samochodowej automat z fotokomórką, która samoczynnie zatrzyma pojazd 30 metrów przed zaistniałą przeszkodą. Ręczę, że będzie mniej rozbitych aut oraz trupów na drogach szerokiego świata. Aż dziw, że dotychczas przemysły motoryzacyjne nie wykorzystały tej zdobyczy, która już dawno temu została wykorzystana do samoczynnego otwierania drzwi i przegród.

Następny pomysł dotyczy setek tysięcy szklanych płyt zainstalowanych w drzwiach wewnętrznych izb mieszkalnych i w drzwiach balkonowych, w tych ostatnich dotyczy szyb w dolnych partiach.

W latach 1976—1980 jedynie w projektowanym osiedlu Widzew-Wschód zużyje się około 100.000 m kw. płyt podobnych o grubości 5 milimetrów (średnio w M-3 — 2,5 m kw. szyb), które są nadzwyczaj łatwo dostępne dla małych dzieci od 1 roku wzwyż i narażone na stłuczenie.

Łatwo obliczyć, ile cennego szkła można by przeznaczyć na inne cele i wyroby eksportowe, uzyskując cenne dewizy, gdyby zamiast płyt szklanych wmontowano podobne płyty z polistyrenu (poliestrowe).

W sklepie chemicznym przy ul. Traugutta w Łodzi, widziałem takie płyty, lecz były one przeznaczone na inne cele, gdyż były za cienkie, miały grubość 1,5 milimetra i nie przystosowany wymiar 100 x 50 cm.

Od ponad 2 tygodni nachodzę nasze punkty usługowe spółdzielcze, m. in. J. Krasickiego również aby wmontowano mi szybę w drzwiach, która rozbiła się pod wpływem przeciągu (otwierałem drzwi do klatki schodowej). W odpowiedzi usłyszałem, że w tej chwili szyb nie ma, żebym zgłosił się później, lecz nie gwarantują czy otrzymała płyty o określonym przeze mnie wzorze.

A. ZAJDEL

OD REDAKCJI:

Nie wszystkie pomysły które nam wydają się oczywiste i proste wytrzymują krytyczną ocenę specjalistów. Refleksu kierowcy nie zastąpi nawet najczulszy automat, a poliester walorów estetycznych i technicznych szkła.

Za list serdecznie dziękujemy.

FILM

„SZAKAL" PO RAZ DRUGI

Podobno zamachów na generała de Gaulle'a było w sumie siedem. Ale najgłośniejszy jest ten, którego nie było — zamach „Szakala" wymyślony przez angielskiego dziennikarza Fredericka Forsytha. Jego książka stała się wielkim przebojem sezonu literackiego w Polsce, poprzedzona famą zachodniego bestselleru i tutaj nie zawiodła. Zwykle w takich wypadkach próbuje się konstruować mniej lub bardziej trafne hipotezy określające źródła sukcesu. Wydaje się, że wtedy wszyscy mają po trosze racje, ale nikt jej nie ma w zupełności. Za takimi zbiorowymi fascynacjami kryje się zwykle pewna doza nieskalkulowanej przypadkowości, cudowny punkt przecięcia się wielu okoliczności na raz, a ich układ i proporcje decydują o istocie tego literackiego puddingu, który udało się tym razem przygotować Forsythowi.

Najczęstszym argumentem przytaczanym w celu objaśnienia sekretu popularności „Dnia Szakala" było dokonane przez autora skrzyżowanie schematu powieści kryminalnej z elementami powieści politycznej. Jako główną osnowę tematyczną wybrał on bowiem motyw, który w historii XX wieku przeszedł w sferę mitu politycznego. Od czasów zabójstwa Johna Kennedy'ego morderstwa polityczne stały się faktami ekscytującymi opinię publiczną i Forsyth, wykorzystując tę okoliczność, dał dowód doskonałego wyczucia masowych potrzeb. Jego wybór padł na generała de Gaulle'a, czyli jedną z najbardziej intrygujących figur współczesnej historii politycznej. De Gaulle nie tylko poprzez swoją biografię, ale także poprzez zespół wyjątkowych, nawet jak na polityka, cech osobistych, stał się mężem stanu o formacie olimpijskim, bohaterem monumentalnym i patetycznym. Warto w tym miejscu przytoczyć opinię Jana Gerharda, autora znakomitej monografii o de Gaulle'u, który sugeruje, że cudowne ocalenia prezydenta z licznych zagrożeń mogły być wynikiem inscenizacji dokonywanej w celu spotęgowania owej aury mitycznej, która go otaczała. Dzięki niej właśnie de Gaulle jest obok „Szakala" i inspektora Lebela trzecim głównym bohaterem tej powieści, bowiem mimo, że wcale w akcji nie uczestniczy, jego obecność jest doskonale wyczuwalna i to nie tylko dlatego, że o jego życie toczy się gra. Element polityczny ujawnia się zatem poprzez autentyczną postać z wielkiej sceny politycznej wraz z całym jej autentycznym entourage'em. Tu zresztą Forsyth okazał się reportażystą wyjątkowo wytrawnym jako długoletni pracownik prasowej służby informacyjnej prezydenta. Jednocześnie polityczny autentyzm skojarzony z sensacyjną fikcją stworzył efekt paradoksalny: wiemy przecież, że zamach nie powiedzie się, bo powieść się nie może, a jednak w najwyższym napięciu pochłaniamy stronice, z trudem powstrzymując się od zajrzenia na ostatnią.

Maestria warsztatowa Forsytha wyraziła się przede wszystkim w unikalnej kreacji tytułowego bohatera. „Szakal" jest gangsterem, zawodowym mordercą, który dysponuje wielką sprawnością fizyczną i niezwykłą inteligencją na usługach zła. Jest to postać nieomal demoniczna, dąży do celu w sposób okrutny i bezwzględny — precyzyjny mechanizm służący do zabijania. Forsyth niepotrzebnie w jednej z introspekcyjnych scen powieści odsłania na moment psychologiczne motywacje satanicznego najemnika, które sprowadzają się do tuzinkowych marzeń playboya i spłaszczają jego tajemniczy rysopis.

Przeciwnikiem „Szakala" jest inspektor Lebel — postać przypominająca nieco Maigreta, fajtłapowaty policjant, który dzięki genialnej intuicji z tysiąca możliwości wybiera tę jedną trafną i kierując gigantyczną operacją, dopada w ostatniej chwili „Szakala".

Widzowie filmu Zinnemana opartego na tej powieści dzielą się na dwa obozy — na tych, którzy książki nie znają i tych, którzy ją czytali. Dla pierwszych film jest gatunkowo znakomity, drudzy twierdzą, że słaby, bo książka jest lepsza. Otóż wydaje mi się, że film jeszcze lepiej uwydatnia zalety książki. Twórca „W samo południe" dokonał adaptacji, która nie jest w stanie udźwignąć fabularnego bogactwa oryginału, mimo iż film oprócz kilku skrótów likwidujących niejako boczne odnogi powieści (np. wątek Kowalskiego) wiernie podąża tropem „Szakala". Ale „Szakal" ma czas na kilkaset stron powieści, a Zinneman tylko dwie godziny więc jego film dostaje zadyszki. To, co w powieści było fascynującym opisem wyrafinowanej technologii morderstwa, w pośpiesznej, z konieczności skrótowej filmowej narracji ginie prawie bez śladu i zaciera się. Obawiam się, że dla widza nie znającego książki wiele frapujących szczegółów przygotowań „Szakala" do zamachu, na których opiera się główna sprężyna atrakcyjności tej fabuły jest niejasnych, jeśli nie wręcz niezrozumiałych. „Dzień Szakala" byłby znakomitym serialem telewizyjnym, ponieważ tylko taki metraż mógłby w pełni przekazać wręcz barokową sensacyjność powieści Forsytha. Ale kto wtedy wytrzymałby bez nerwów do końca?

TADEUSZ SZCZEPAŃSKI

REPORTAŻ

NOC NA DWORCU

JAN BĄBIŃSKI

Fot.: Archiwum

Dalszy ciąg ze str. 1

twarzy? Czemu są tak dziwni niemrawi, speszeni i przygnębieni?

Poczekalnia dworcowa jest obszerna, wysoka, zapchana stolikami. Przy każdym warują oni, cudzoziemcy, z walizkami przy nodze. Jedni wracają do ojczyzny. Nikt ich nie żegna, nikt nie dziękuje, nikt nie wręcza kwiatów. Raus, nic tu po was... Drudzy co dopiero przybyli z urlopów i teraz czekają utrudzeni, o zgasłych oczach, aż z pierwszym brzaskiem ruszą z tej węzłowej stacji pociągi do przemysłowych ośrodków w całym Rheinlandzie. Wszyscy sączą piwo z kufli, drzemią na twardych krzesłach, rozbudzeni znów zamawiają duże jasne. Znad niektórych stolików powtykanych w ciemne zakamarki tej rozległej sali unosi się nieprzerwany krzyk. Ci ludzie wrzeszczą we wszystkich południowych językach jakby się chcieli wykrzyczeć za te wszystkie miesiące posłusznego milczenia przy robocie.

Zastanawiam się czym zabić te godziny, które dzielą mnie od rannego pociągu do Lipska. Gdy się na coś czeka, czas dłuży się niemiłosiernie, zwłaszcza nocą, na dworcu. Gwar na sali się wzmagał. Chłopczyk, wyglądający na Turka, zaczął biegać po sali z latawcem w ręku, młody Włoch zaczął grać na organkach „solo mio" dwaj Portugalczycy zabawiali się przystawianiem do ucha drzemiących Serbów niesamowicie rechoczącej żaby. Tu żaba zarykiwała się od żabiego rechotu. Raptem rozbudzony Serb o wyłupiastych oczach wskazujących raczej na to, że jest ciężko chory na cukrzycę, chwycił odruchowo za tobołek ukryty pod stolikiem. W porządku. Zawiniątko było uwiązane sznurowadłem do buta. Wiadomo, strzeżonego pan Bóg strzeże. Mechaniczna żaba pojedzie pewnie do Portugalii w charakterze podarku, jako bijący w uszy przykład cudów nadreńskiej techniki.

Zamknąłem oczy.

Przysiadło się dwóch starszych wiekiem Niemców. Pewnie emeryci. Udałem, że drzemię. I wtedy doszły mnie strzępy rozmowy.

— Powiem ci jedno, Georg, jak już pogrzeby drożeją to znaczy, że idzie na złe.

— W Hamburgu pogrzeby też zdrożały.

— Ale nie tyle co u nas w Rheinlandzie. Dobra trumna z okuciami kosztuje w Kolonii 4 tysiące marek.

— Zgłupiałeś? Po co ci taka trumna, to dobre dla tych prominentów.

— Są też tańsze trumny, imitacja dębu po 2000 marek.

— To nie dla mnie. W Hamburgu sosnową trumnę bez tych tam okuć i ozdóbek mogę mieć za 700 marek.

— Ale pogrzeb to nie tylko trumna, powiem ci Georg, że po opłaceniu miejsca na cmentarzu, nagrobka i tablicy, a jeszcze po doliczeniu różnych tych przeklętych opłat komunalnych tańszego pogrzebu w Kolonii jak za 2700 marek już się nie urządzi. Dokładnie to sobie wyliczyłem. A wszystko przez tych cholernych gastarbeiterów, bo niemiecki człowiek chodzi bez roboty.

— W Fuldzie już się do nich dobrano. Wypłacają im odszkodowanie i jazda, won, do domu. W Fuldzie dobrano się też do czarnuchów.

— Do Amerykanów?

— Żebyś wiedział. Sam widziałem w Fuldzie i Bad Hersfeld wywieszki na restauracjach „Off Limits", to znaczy trzymajcie się stąd z daleka przeklęci bimbosi, bo was tu nie proszą.

— A pamiętasz jak to zaraz po wojnie Amerykanie malowali te swoje „Off Limits", co miało znaczyć, że nam Niemcom wstęp wzbroniony do ich klubów, restauracji i kantyn. Teraz się to odwróciło.

— W Hesji nabrali widocznie rozumu. Dobrze robią. Ja ci powiem Georg, że ta cała drożyzna to przez tych cholernych gastarbeiterów. Kto to słyszał, żeby pogrzeb kosztował 2.700 marek, jak byś nie liczył to przeszło 1.000 dolarów...

Emeryci podnieśli się ciężko ze stołków i podreptali w kierunku schodów wiodących na salę dworcową. Dochodziła czwarta nad ranem. Za chwilę ta poczekalnia zostanie na dwie godziny zamknięta. Po wyślizganej posadzce ogromnego dworca snuli się teraz goście spod ciemnej rzeczywiście gwiazdy. Fizjonomie takie, że oczy zasłaniać. Wszyscy na gazie. Wszyscy po dobrym doprawieniu się „dortmunderem" z „Imbiss-Stube" niewielkiego bufetu, który prowadził niesłychanie uprzejmy Włoch na samym końcu dworcowej sali. Z twarzy Włocha nie schodził uśmiech. Mogło się zdawać, że to rozkosz dla niego podawać butelki piwa zapijaczonym jakimś typom. Wszyscy oni są na wpół przytomni od wielkiego chlania. To młodzi głównie Niemcy, którzy spłynęli nad ranem na dworzec jak ćmy do światła ze wszystkich zakazanych kątów tego miasta. Jakieś rozmamłane pijane dziewczęta z tej najniższej ulicznej kasty pieszych cór Koryntu. Jacyś obdartusi z bezczelną natarczywością domagają się fenigów. Na piwo? Oczywiście, że na Bier, na cóż by innego. Nigdzie śladu policji. Czasem salą przespaceruje się dwóch znudzonych „bahnschutzów" ze straży kolejowej, którzy udają, że nic nie widzą i niczego nie słyszą.

O czwartej nad ranem wypełniony zgiełkiem dworzec z nagła zamilkł. Wielkomiejskie męty znikają. Na dworzec wkracza ranna falanga czyścicieli. Do akcji przystępują Turcy i Serbowie. Zaczyna się wielkie, conocne „saubermachen", oczyszczanie dworcowych pomieszczeń z brudu, przewietrzanie ich ze smrodu. Wszystkich tych młodych ludzi mówiących różnymi językami łączy miotła i ścierka. Są sprzątaczami. Widać ich w miejskich szaletach, w miejskich pralniach, w hotelowych i restauracyjnych umywalniach. Znaleźli się na tych najniższych szczeblach zarobkowej drabiny. Wykonują najgorzej płatne prace. Są na samym dole.

O piątej zaczyna się przewalać dworcem wzrastająca fala schludnie ubranych obywateli Kolonii. To inni całkiem ludzie, zadbani, kroczą pewnym siebie krokiem, na Turków objeżdżających dworcową halę na ogromnych mechanicznych froterkach, spoglądają z ironią i przekąsem. Obywatele Kolonii mają rumiane policzki i nienagannie skrojone garnitury. Ze swej roli nie wypadli. Są pewni siebie i swobodni. Udają się podmiejskimi pociągami do huczących od maszyn niezliczonych fabryk usytuowanych wzdłuż obu brzegów Renu.

Jest pewna bariera, która skutecznie rozdziela południowców od Niemców. To bariera językowa. Ledwo Portugalczyk otworzy usta i już wiadomo, że gastarbeiter. Toteż cudzoziemscy robotnicy trzymają się razem. Jeżdżą razem do pracy. Przy jednym siadają stole w fabrycznej kantynie. Razem przechadzają się po handlowych ulicach. Wspólnie rozglądają się za dziewczętami. Próżny trud. Mało która na Turka spojrzy, Turek to Turek, nikt się z Turkiem nie dogada, Turek jest w sam raz do miotły i łopaty. Samotność gastarbeiterów. Nic tych ludzi tak nie dręczy jak samotność. Poczucie obcości nigdy ich nie opuszcza.

Osobny rozdział to Włosi, wielce też specyficzny.

Od wielu już pokoleń Włosi emigrowali z Sieny do San Francisko, z Bari do Rio de Janeiro, a ostatnio ciągną tłumem za zarobkiem do RFN, Holandii, Szwajcarii i do Austrii. Pracują w Kolonii, Amsterdamie, w Wiedniu i Zurychu. Włosi od lat prą na północ. W krajach Północy szukają pracy i zarobku. Przypuszcza się, że tylko w tym stuleciu w jednych tylko Stanach Zjednoczonych osiedliło się 15 milionów Włochów. Liczbę Włochów w Niemieckiej Republice Federalnej szacuje się na prawie 300 tysięcy.

Włosi są skrzętni, zapobiegliwi, ciułają.

W zeszłym roku wysłali z RFN do swych rodzin przeszło miliard marek. Oszczędzają na jedzeniu, rozrywkach, na mieszkaniu. Sypiają w mansardowych klitkach na piętrowych pryczach. Stołują się w najtańszych jadłodajniach. To owi „podkonsumenci", którzy zdają się hołdować dewizie, że nie ten jest na wierzchu kto dużo zarabia, tylko ten jest majętny kto mało wydaje. Po latach harówki i egzystencji na granicy głodu wrócą do Palermo na Sycylii w aureoli bogaczy. Pootwierają własne stacje benzynowe, własną kafejkę, sklepik spożywczy lub niewielki rodzinny hotelik. Wszystkie te stare narody, więc Ormianie, Żydzi, Chińczycy czy też Grecy marzą o własnym przede wszystkim interesie. Niech to będzie na początek kramik z owocami ale niech będzie, byle pracować na siebie a nie na jakiegoś przeklętego bossa.

Ostatnimi czasy aura się zmieniła. Bundesrepublika jak cały zresztą uprzemysłowiony Zachód, dostała się w bezlitosne kleszcze gospodarczej recesji. Ekonomiczny gmach RFN wykazuje rysy. Od paru już miesięcy więcej Turków opuszcza Nadrenię niż do niej przyjeżdża. Więcej Włochów wyjeżdża z RFN raz na zawsze niż do Bundesrepubliki przybywa. Odpływ jest dużo wyższy niż przypływ. Jest to dla nich tragedia. Neapolitańczyk, który stracił pracę w Kolonii, nie ma żadnej nadziei na znalezienie stałego zajęcia u siebie w domu. W Neapolu pójdzie na dno jeszcze dużo gorsze od tego z Kolonii. Recesja w Italii sięga dalej i jeszcze głębiej niż w RFN. Inflacja jest we Włoszech wyższa niż w jakimkolwiek innym kraju z wyjątkiem Wielkiej Brytanii. Recesja jest wszechobecna.

Turysta może nabrać opacznych wyobraźni o życiu w Kolonii, jeśli będzie polegał na własnych jedynie, powierzchownych dość spostrzeżeniach.

Niby recesja, a betonowo-aluminiowe ulice w kolońskim centrum handlowym rozbrzmiewają tłumem kupujących. Życie toczy się równo i gładko. Sklepy są przepełnione. Domy towarowe zapchane artykułami z pięciu kontynentów. Gwar w lokalach rozrywkowych milknie dopiero późnym wieczorem. Mimo wysokich cen na benzynę sprzedaż samochodów znów zaczyna wzrastać. Mimo drożyzny, statystyczny mieszkaniec Kolonii 16 procent swych miesięcznych zarobków zanosi do Sparrkasse, do banku, na konto oszczędnościowe, bo nic nie wiadomo.

To są te sprzeczności, niby zastój a wielki ruch w sklepach. To jest ta karuzela rosnących cen, ale wzrastających też z cenami zarobków. To jest ten ekonomiczny młyn, szaleńcza wirówka, w której jedni idą na dno, drudzy wypływają na wierzch. To jest ten melanż plusów i minusów, w którym najbardziej wytrawni specce gospodarczy też się czasem gubią.

Czym się ta karuzela zakończy?

Nie wiem, prorokiem nie jestem, czas sam pokaże.

Wreszcie koniec z wyczekiwaniem. Punktualnie o 10 pociąg ruszył na wschód. Ledwo jednak minął nadreńskie przedmieścia a już do przedziału wparadował chłopak w białym fartuchu. Roznosił sandwicze, pomarańczowe soki, hamburgery i cocę prosto z lodu. I dalej, zachwalać ciastka, prócz tego czekolady i ananasowe lody. Włoch? Oczywiście, po akcencie i czarnych błyszczących oczach od razu się poznało, że to Włoch. Chłopak promieniał zadowoleniem. Dorobił się już przecież własnego interesu.

U PRZYJACIÓŁ

W stolicy Kraju Rad trwają „Dni Warszawy". Obchody zainaugurowane zostały uroczystą akademią zorganizowaną przez Komitet Miejski KPZR i Komitet Wykonawczy Moskiewskiej Rady Delegatów Ludu Pracującego. Licznie organizowane imprezy kulturalne cieszą się ogromnym i niesłabnącym zainteresowaniem społeczeństwa Moskwy. Stanowią one znakomitą okazję do upowszechnienia wiedzy o naszym kraju, zaznajomienia się z jego współczesnym dorobkiem, planami dalszego rozwoju, a także sprzyjają nawiązywaniu nowych bezpośrednich kontaktów i przyjaźni z przedstawicielami różnych środowisk Wraszawy, którzy goszczą w Moskwie.

Powszechne uznanie zdobyła sobie reprezentacyjna wystawa poświęcona naszej stolicy. Pawilon Polski odwiedzają codziennie tysiące osób. Dodatkową atrakcją dla zwiedzających są projekcje barwnych filmów wyświetlanych równocześnie na kilku ekranach, pokazy mody oraz możliwość otrzymania pamiątkowej fotografii z wystawy. Wysoką frekwencję notuje się też w salach muzeów miejskich i innych placówek kulturalnych, gdzie eksponowane są wystawy: „Rewolucyjne tradycje Warszawy", „Plakat polityczny", „Warszawa w malarstwie i fotografii".

Przy wypełnionych szczelnie widowniach odbywają się pokazy polskich filmów i koncerty estradowe z udziałem znanych artystów i gwiazd naszej piosenki i muzyki.

W licznych moskiewskich zakładach pracy, których załogi są zespołowymi członkami Towarzystwa Przyjaźni Radziecko-Polskiej, odbywają się okolicznościowe spotkania, wieczory artystyczne i wystawy foto-gazetek o tematyce związanej z naszą stolicą.

Podczas inaugurującego spotkania w sali koncertowej im. Czajkowskiego, wysoką ocenę współpracy dwóch bratnich stolic dał członek Biura Politycznego KC, I sekretarz moskiewskiego Komitetu Miejskiego KPZR, Wiktor Griszin, inicjator tych dni, które przygotowano w stolicy Kraju Rad. Ścisłe kontakty organizacji warszawskich i moskiewskich komunistów mają swoją bogatą tradycję. Współpraca i wymiana doświadczeń między nimi ma szczególne znaczenie dla stałego ulepszania ideowej i politycznej działalności. Kontakty te stale się rozszerzają, a w wyniku obecnych „Dni Warszawy" w Moskwie nabrały jeszcze większego rozmachu.

* * *

26 bm. rozpoczyna się XIX Berliński Festiwal Teatru i Muzyki. Wezmą w nim udział zespoły 16 krajów, przede wszystkim z krajów socjalistycznych. Będzie m. in. balet leningradzki Leonida Jacobsona oraz pianiści Emil i Elena Gilelsowie, będzie praski duet marionetkowy „Spejbl i Hurvinek", znany w 25 krajach 4 kontynentów i w 14 językach, będą zespoły teatralne i muzyczne oraz soliści z Węgier, Bułgarii, Rumunii, Jugosławii, Kuby, Berlina Zachodniego, Austrii, Holandii, Włoch, Senegalu, Syrii, Meksyku i Japonii.

Dla nas tegoroczny festiwal berliński ma wyjątkowe znaczenie. Koncertem galowym, w którym wystąpią m. in. Bogusław Madej jako dyrygent, Konstanty Kulka, oraz śpiewacy: Urszula Trawińska-Moroz, Krystyna Szostek-Radkowa, Wiesław Ochman i Andrzej Hiolski, zainaugurowane zostaną „Dni polskiej sztuki teatralnej w NRD". Rozpoczną się one 9 października premierą „Pierwszego dnia wolności" Kruczkowskiego w interpretacji czołowej sceny NRD — Brechtowskiego „Berliner Ensemble". W programie są następnie: „Wesele" Wyspiańskiego i „Kartoteka" Różewicza w wykonaniu zespołu Teatru Narodowego z Warszawy, „Echo w lesie" Elsnera pokaże Warszawska Opera Kameralna, a „Poznański chór chłopięcy" Jerzego Kurczewskiego przypomni się berlińczykom swym znakomitym repertuarem i wykonawstwem.

Do „Dni" przygotowują się teatry wielu miast NRD. W prezentowanym repertuarze znajdą się wybitni dramaturdzy polscy: Kruczkowski, Różewicz, Bryll, Mrożek, Andrzejewski, Stawiński i inni. Odbędzie się ponad 40 premier na wszystkich niemal scenach kraju. Wydarzeniem szczególnej wagi będzie zapowiadana w Operze Państwowej w Berlinie NRD-owska prapremiera „Diabłów z Loudun" Pendereckiego.

* * *

W praskim parku im. J. Fuczika tysiące mieszkańców nadwełtawskiej stolicy oraz liczne grupy turystów z całego kraju uczestniczyły w dorocznym, tradycyjnym święcie organu Komitetu Centralnego Komunistycznej Partii Czechosłowacji — „Rudeho Prava". Ta bogata i barwna impreza obchodzona była w tym roku szczególnie uroczyście, minęło bowiem 55 lat od ukazania się pierwszego numeru tej gazety.

Tegorocznemu świętu „Rudeho Prava" towarzyszyły dziesiątki imprez artystycznych, oświatowych i sportowych, spotkań i dyskusji poświęconych najważniejszym problemom krajowym i zagranicznym. Bardzo uroczyście dni te przebiegały również w stolicy Słowacji — Bratysławie, gdzie tutejszy organ KC Komunistycznej Partii Słowacji, dziennik „Pravda" także obchodził 55-lecie istnienia.

DRUGI ROK KRYZYSU

W rozwiniętych krajach kapitalistycznych już drugi rok z rzędu występuje spadek produkcji, stagnacja w handlu, postępująca inflacja, zaostrzenie walki konkurencyjnej na rynkach wewnętrznych oraz wzrost bezrobocia.

Oto co pisze na ten temat prasa zachodnia:

ASSOCIATED PRESS — NOWY JORK

„W początkach września br. na nowojorskiej giełdzie pieniężnej nastąpił gwałtowny spadek kursu akcji. Indeks Dow Johnsa, reprezentujący papiery wartościowe trzydziestu największych kompanii spadł, tylko w ciągu jednego dnia — 9 września br. o 12 punktów. Trochę wcześniej ministerstwo pracy opublikowało sprawozdanie, które stwierdza, że inflację trzeba znów mierzyć dwucyfrową liczbą. W lipcu ceny detaliczne, w stosunku rocznym, wzrosły o 15,4 proc. w porównaniu z odpowiednim okresem roku ubiegłego. Szczególnie gwałtownie wzrosły ceny na żywność i paliwo. Wzrost ten, w stosunku rocznym, w lipcu br. wyniósł 22,8 proc."

DPA — HAMBURG

„W wywiadzie dla telewizji zachodnioniemieckiej, kanclerz federalny Helmut Schmidt powiedział, że Zachodnie Niemcy będą musiały żyć „w warunkach bardzo niepomyślnej sytuacji w ekonomice światowej". Zgodnie z oświadczeniem prezydenta federalnego urzędu do spraw zatrudnienia — Stiengla — we wrześniu było w RFN ponad milion bezrobotnych".

INTERNATIONAL HERALD TRIBUNE — PARYŻ

„Angielskie kompanie przemysłu przetwórczego gwałtownie zmniejszyły wydatki inwestycyjne w przemyśle. Znani ekonomiści wyrażają opinię, że wydatki inwestycyjne w IV kwartale tego roku zmniejszą się minimum o 24 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym".

AGENCE FRANCE PRESSE — PARYŻ

„W Japonii jest około milion bezrobotnych. Liczba bankructw znów rośnie. Wiele kompanii zredukowało programy związane z unowocześnieniem parków maszynowych. Zmniejsza się także eksport mający tak żywotne znaczenie dla Japonii. W lipcu br. zmniejszył się on prawie o 12 proc. w porównaniu z rokiem ubiegłym. Jest to najbardziej drastyczny spadek eksportu od 12 lat. Wielka kompania „Kozdin", mająca przedsiębiorstwa w całym szeregu gałęzi przemysłu a głównie w produkcji miazgi drzewnej i tekstyliów, ogłosiła niewypłacalność. Jest to największe w Japonii bankructwo od czasów zakończenia II wojny światowej".

NEW YORK TIMES — NOWY JORK

„We Francji w okresie między lipcem ub. roku a lipcem br. produkcja przemysłowa zmniejszyła się o około 12 proc. W pierwszym półroczu br. liczba bankructw wzrosła o 24 proc. W tymże czasie liczba bezrobotnych osiągnęła milion 200 tys. osób. Oczekuje się, iż na rynek pracy we wrześniu br. wejdzie około 100.000 młodych ludzi i do końca roku liczba bezrobotnych może osiągnąć półtora miliona osób. Młodzież po prostu nie będzie mogła znaleźć pracy".

I tak dalej...

Zaostrzający się kryzys wymierza wciąż nowe ciosy w wiodące gałęzie przemysłu, finanse, handel wewnętrzny i zagraniczny.

Ci, którzy rokowali „zerowy wzrost ekonomiczny" — pisze komentator amerykańskiego miesięcznika handlowo-przemysłowego „Fortune" — mogą mieć satysfakcję: rok 1975 wejdzie prawdopodobnie do historii nie jako rok przyrostu zerowego, lecz nawet „ujemnego". Globalny produkt narodowy (produkcja plus wszystkie usługi) przemysłowo rozwiniętych krajów świata niekomunistycznego, ogólnie, w bilansie rocznym, zmniejszy się wyraźnie mimo pewnych oznak wzrostu w poszczególnych krajach. Tak głębokiego spadku nie zanotowano w całym powojennym trzydziestoleciu. Do 1974 roku, w okresie wszystkich minionych lat od zakończenia II wojny światowej, nie było jeszcze takich 12 miesięcy, w których globalny produkt narodowy przemysłowo rozwiniętych krajów Zachodu nie wykazywałby choćby odrobiny wzrostu.

Spośród największych krajów kapitalistycznych najcięższy kryzys przeżywają Stany Zjednoczone. W br. ich globalny produkt narodowy, w porównaniu z 1974 rokiem, zmniejszył się o 4 proc. W Zachodnich Niemczech optymiści rokowali „zerowy wzrost". Teraz wielu ekonomistów przewiduje zmniejszenie globalnego narodowego produktu o 2 proc. Francja może mieć nadzieję na zaiste mikroskopijny wzrost globalnego produktu narodowego. W Anglii sytuacja jest jeszcze gorsza. We Włoszech wzrost będzie z pewnością ujemny.

Wszystko wskazuje na to, że w identycznej sytuacji znajdzie się także Kanada. Japonia zaczyna dopiero przychodzić do siebie po ubiegłorocznym gwałtownym spadku globalnego produktu narodowego, należy jednak wątpić, żeby w tym roku osiągnął on nawet dwa procent (rażący kontrast z 10-procentowymi tempami rocznego przyrostu, które niemal zawsze notowano w Japonii).

Ekonomiści zachodni przypuszczają, iż odbudowie ekonomiki będzie towarzyszyć wzrost inflacji, tym więcej, że ekonomika uprzemysłowionych krajów Zachodu jest obecnie bardziej „zsynchronizowana" niż dawniej. W związku z tym wyrażają oni nawet obawy, że ponieważ największe państwa kapitalistyczne weszły w znacznym stopniu w jeden cykl przeto w nadchodzących latach będą one przeżywać wzrosty i spadki gospodarcze bardziej lub mniej jednocześnie. Ową „synchronizację" uważają za całkiem niepożądane zjawisko dla Zachodu, za kłopotliwą współzależność. Przedtem różne fazy rozwoju ekonomicznego uprzemysłowionych krajów Zachodu szły do wspólnego mianownika. Popyt na import w kraju, w którym był wzrost ekonomiczny, pomagał, w pewnym stopniu, zmiękczyć spadek w innych państwach. Te „zmiękczające czynniki" wzajemnej więzi zniknęły dziś, nie istnieją i teraz, międzynarodowa ekonomika Zachodu zaczęła iść „w nogę". I jeśli — powiadają zachodni eksperci — wszystkie uprzemysłowione kraje przeżywają spadek jednocześnie, słabość międzynarodowego handlu zwiększa się jeszcze bardziej. Jeśli we wszystkich zacznie się wzrost ekonomiczny, to zwiększenie popytu zacznie podsycać wzrost cen na towary. Tak było w latach 1972—73 i może się to powtórzyć, jeżeli nowy wzrost zacznie nabierać tempa. Innymi słowy, „synchronizacja" bardziej wystawiła na ciosy uprzemysłowione kraje Zachodu, uczyniła je bardziej podatne zarówno na głębokie i długotrwałe spadki ekonomiczne, jak i na galopującą inflację.

Ale powróćmy do tematu. W Anglii rząd w znacznym stopniu przyczynił się do inflacji, wydatkując o wiele więcej niż pozwalały na to środki. Według oficjalnych danych, zadłużenia rządu brytyjskiego wynosiły 20 miliardów dolarów. Pewien znany londyński przemysłowiec powiedział, że jeśli suma pożyczek przewyższy ten poziom, będzie to oznaczać, iż „Anglia zakończyła swoją drogę".

W jeszcze gorszej sytuacji są Włochy. Chociaż w niektórych krajach zachodnich sytuacja jest nieco lepsza, to jednak wszystkie one przeżywają dziś wielkie trudności ekonomiczne. Polityków najbardziej niepokoi bezrobocie. Liczba bezrobotnych w RFN przewyższa milion, tak samo we Francji, w Anglii ludzi bez pracy jest jeszcze więcej, w Stanach Zjednoczonych pozostaje bez pracy około 8 milionów ludzi. W Japonii do miliona bezrobotnych doszło w ostatnim czasie blisko drugie tyle. Firmy japońskie zwalniają z fabryk więcej robotników niż miało to zazwyczaj miejsce w okresach spadków ekonomicznych.

Przy ocenach ekonomicznych perspektyw na przełomie lat 1975/76 specjalistów zachodnich bardzo niepokoi okoliczność, że nie są w stanie przewidzieć w jakiej sferze można oczekiwać ożywienia gospodarczego. Na przykład w przemyśle samochodowym oczekuje się na pewien wzrost, byłoby jednak nierealne twierdzić, że nastąpi pomyślny zwrot na poziomie 1973 roku. Sytuacja w budownictwie mieszkaniowym także nie rokuje jakiejkolwiek poprawy, w każdym razie w zachodniej Europie. A jeśli będzie panować „cisza" w budownictwie mieszkań, to nie uzdrowi się także całego przemysłu produkującego wyroby gospodarstwa domowego.

Ogólnie biorąc można powiedzieć, że ekonomiczny stymulator, jakim była odbudowa powojenna, dziś już nie istnieje, i nie tylko w Zachodnich Niemczech, lecz także i w innych krajach zachodnich. Zaspokojenie potrzeb na budowę zbiornikowców wraz z uruchomieniem Kanału Sueskiego oznacza, że popyt na stal do budowy statków będzie także bardzo niski. W wielu uprzemysłowionych krajach zachodnich, włącznie z RFN, Anglią, Francją, Włochami, Japonią i Kanadą, w ostatnim miesiącu I półrocza prognozy na II półrocze 1975 przestrojono w kierunku spadku ekonomicznego.

Mając nikłe nadzieje na ożywienie ekonomiki u „siebie w domu", prawie wszystkie uprzemysłowione kraje zachodnie pokładają nadzieję w eksporcie swoich towarów. I niemal wszystkie kierują spojrzenia na USA w nadziei, iż wyjście ze spadku ekonomicznego zacznie się tam. Być może Stanom Zjednoczonym uda się wyjść z kryzysu szybciej niż innym krajom zachodnim, ale urzeczywistnienie nadziei na zwiększenie handlu jest bardzo problematyczne. Co więcej, wielkie uprzemysłowione kraje kapitalistyczne, takie na przykład jak Niemcy Zachodnie i Japonia, mogą daremnie oczekiwać na niezbędny impuls ożywienia ekonomicznego, jakim byłoby zwiększenie importu do USA, bowiem spadek wartości dolara doprowadził w Stanach Zjednoczonych do podrożenia towarów importowanych z Japonii, RFN jak również z większości krajów zachodniej Europy".

JERZY CZECH

■ POD ZNAKIEM ROZBROJENIA
■ SUKCES PROGRAMU INDIRY GANDHI
■ EUROPEJSKIE ZAINTERESOWANIA PEKINU

Pracowity jest wrzesień dla delegacji 138 państw, biorących udział w sesjach ONZ. Tego samego bowiem dnia, kiedy zamknięte zostały obrady 14-dniowej VII specjalnej sesji — **rozpoczęła się zwyczajna, trzydziesta, a zatem jubileuszowa sesja Zgromadzenia Ogólnego NZ.** Porządek dzienny tej ostatniej obejmuje ponad 120 punktów, co jest swoistym rekordem w trzydziestoleciu. Problemy są różne: polityczne, społeczne, gospodarcze. Jednakże **ok. 20 punktów łączy się z rozbrojeniem.**

Zagadnienie nabiera obecnie szczególnej rangi. Nie tylko dlatego, że trwający wyścig zbrojeń nie da się pogodzić z postępującym odprężeniem politycznym i niesie niebezpieczeństwo militarnej konfrontacji. W kryzysowej w wielu rejonach sytuacji gospodarczej równie ważny jest aspekt ekonomiczny zbrojeń. Liczba ludności świata przyrasta bardzo szybko. Jeśli w XIX wieku na przyrost miliarda mieszkańców trzeba było czekać 100 lat, teraz już tylko 15. W niektórych krajach tzw. trzeciego świata przyrost naturalny przekroczył 3 proc., co oznacza, że podwojenie ludności następuje co 23 lata. Są to zresztą z reguły kraje najbiedniejsze — do niedawna eksploatowane przez bogate kraje kapitalistyczne.

Ileż trzeba więc środków, aby wyżywić tę ludność, zapewnić jej pracę i godziwe warunki życia. **Zbrojenia tymczasem pochłaniają zawrotne kwoty, a każdy dalszy krok w tym kierunku jest coraz droższy.** Nic przeto dziwnego, że cała ludność żywotnie zainteresowana jest pohamowaniem wyścigu zbrojeń.

Od sesji Zgromadzenia oczekujemy dalszych decyzji na tej drodze. Ogólne odprężenie w świecie powinno ułatwić podjęcie decyzji, które odwróciłyby bieg spraw — zamiast wzrostu przyniosłyby obniżenie zbrojeń.

Wielkim wydarzeniem powinna być Światowa Konferencja Rozbrojeniowa, której ideę przed laty wysunął ZSRR. Z pewnością XXX sesja Zgromadzenia Ogólnego przyspieszy jej zwołanie.

Odnotujmy, że **tegoroczna zwyczajna sesja rozpoczęła się od przyjęcia trzech nowych członków ONZ:** Ludowej Republiki Mozambiku, Demokratycznej Republiki Wysp św. Tomasza i Książęcej oraz Republiki Wysp Zielonego Przylądka. Tak więc **ONZ liczy już 141 członków** i nabiera charakteru uniwersalnego. Można oczekiwać, że w toku 13-tygodniowych obrad sesji podjęta zostanie również sprawa członkostwa dwóch państw wietnamskich, którym udział w pracach ONZ zablokowało veto Stanów Zjednoczonych w Radzie Bezpieczeństwa.

Sesji przewodniczył premier i minister Spraw Zagranicznych Luksemburga — Gaston Thorn, który w wywiadzie dla prasy wyraził swe przekonanie, iż w toku obrad umocni się atmosfera, sprzyjająca poszukiwaniu rozwiązań i kompromisu.

Zmieńmy teraz temat i przenieśmy się **do Indii.** Pisaliśmy na tym miejscu przed dwoma miesiącami o okolicznościach, w jakich w kraju tym wprowadzono stan wyjątkowy. 1 lipca Indira Gandhi ogłosiła też swój program społeczno-polityczny. Dziś **można już pisać o jego sukcesie.** Prawie całkowicie zahamowana została inflacja, położono kres korupcji i nadużyciom, wprowadza się w życie reformę rolną.

W tej ostatniej sprawie kilka słów wyjaśnienia.

W 1972 roku parlament przyjął ustawę o pułapie własności ziemskiej, w myśl której wielkim posiadaczom powinno się skonfiskować cztery miliony akrów ziemi. Jednakże obszarnicy ukrywali część ziemi. Ostatnio kierownictwo Partii Kongresowej zaleciło szefom rządów stanowych, aby do połowy przyszłego roku ustawa została w pełni zrealizowana. Nadwyżki ziemi będą rozdzielone wśród bezrolnych chłopów. W tym celu w wielu prowincjach powołano komitety ludowe. Ukrywanie wielkości posiadanej ziemi przez obszarników traktowane jest jako przestępstwo.

Energiczne działanie Indiry Gandhi cieszy się poparciem społeczeństwa hinduskiego.

I jeszcze jeden temat przeglądu aktualności. W ub. tygodniu **ChRL akredytowała swego przedstawiciela przy EWG.** Wiadomość ta może nie zasługiwałaby na uwagę, gdyby nie fakt, że **Pekin ostatnio szczególnie interesuje się Europą?**

Jaki jest tego powód?

Pomyślny finał konferencji w Helsinkach i przyjęte tam postanowienia w sprawie zasad pokojowego rozwoju sytuacji na naszym kontynencie. Maoistowskie kierownictwo Chin jest tym po prostu zaniepokojone. Na łamach prasy chińskiej przypuszczono atak na wyniki KBWE. Nie dziwimy się temu — pokojowe, dobrosąsiedzkie stosunki i rozwój korzystnej dla wszystkich współpracy międzynarodowej nie jest na rękę Pekinowi.

WITOLD SŁAWSKI

PLASTYKA

KRONIKA

W gmachu Muzeum Historii Włókiennictwa trwają nadal intensywne prace remontowe i adaptacyjne przed zbliżającym się I Międzynarodowym Triennale Tkaniny Łódź-75. W Graficznej Pracowni Doświadczalnej drukuje się obszerny katalog, plakaty i inne druki związane z Triennale. Organizatorzy, jak informuje komisarz Triennale, artysta plastyk Jerzy Frątczak, mają nadzieję, że katalog zostanie wydrukowany starannie i w terminie — impreza jest wszak zobowiązująca. Przewiduje się również ustawienie na czas trwania Triennale i związanych z nią imprez dekoracji okolicznościowo-reklamowych w różnych punktach miasta. Łódzkie Zakłady Artystyczne „Art" organizują w trakcie trwania wystawy Triennale w Muzeum Historii Włókiennictwa sprzedaż eksponowanych dzieł.

* * *

W salach Muzeum Sztuki otwarta została w związku z obchodami Dni Kultury Czeskiej i Słowackiej niewielka, lecz bardzo interesująca wystawa współczesnych artystów czechosłowackich ze zbiorów łódzkiego Muzeum. Obejmuje ona malarstwo, grafikę i rzeźbę. Na wystawie znalazły się więc dekoracyjne obrazy

IZABELA MARCJAN „Zielone winogrona" — gobelin.

Franciszka Grossa, surrealistyczne płótna Jiri Johna, rzeźby Stanisława Kolibala, Ludmiły Stehnovej i Karela Neprasa, collage Jiri Kolara, grafiki warsztatowe Simutovej, Balcara, Kucerovej, Malicha, Grygara.

* * *

W Sopocie, w Klubie Stowarzyszenia Związków Twórczych czynna była od 20 sierpnia wystawa malarstwa, grafiki i rysunku łódzkiego plastyka, Andrzeja Gruna, zorganizowana przez łódzką „Estradę" w ramach imprez towarzyszących Festiwalowi Piosenki. We wstępie do katalogu Andrzej Grun w ten sposób wyjaśnia założenia wystawy: „Moje rysunki, grafiki, collage nie ilustrują tematów muzycznych. Powstały, co prawda, na „bazie" tych tematów, ale są jedynie ich swobodną, niezależną interpretacją; nieskrępowanym i nie obowiązującym przekładem na język plastyki... Czasem są to portrety ludzi związanych z muzyką — twórców, wykonawców, odbiorców... Czasem jest to poważna lub zgoła żartobliwa aluzja do treści lub tytułu jakiegoś utworu muzycznego... Czasem mały okruch poezji..."

Wystawa cieszyła się dużym zainteresowaniem.

* * *

19 bm. w Salonie Sztuki Współczesnej przy ul. Piotrkowskiej 88 otwarta została Jubileuszowa Wystawa artysty malarza Zygmunta Hyżego.

Zygmunt Hyży (ur. 1911) jest członkiem ZPAP od roku 1950. Bierze czynny udział w zbiorowych wystawach ogólnopolskich, okręgowych i zagranicznych. Miał również kilka wystaw indywidualnych. Otrzymał wyróżnienie na Ogólnopolskim Konkursie Malarstwa w Łodzi w 1971 ro-

ANDRZEJ GRUN „Koncert" — rys. tuszem.

ku. Obrazy Zygmunta Hyżego znajdują się w zbiorach Urzędu Miasta Łodzi i Urzędu Wojewódzkiego oraz w zbiorach prywatnych w kraju i za granicą. Tematem jego obrazów jest przede wszystkim pejzaż malowany w konwencji realistycznej. Zygmunt Hyży jest również autorem wielu reklamowych malowideł ściennych w Łodzi i innych miastach.

A.G.

WYCHOWANIE

Z dala od wielkomiejskiego gwaru, przy cichej uliczce, w ogrodzie pełnym kwiatów, drzew owocowych i warzyw stoi piętrowy dom. Cieszy oko wzorowym porządkiem i ładem. Chciałoby się powiedzieć — znać tu rękę gospodarza. I nie byłoby w tym stwierdzeniu nic nadzwyczajnego, a w każdym bądź razie godnego szczególnej uwagi publikatorów. Ot, dom jakich wiele w naszym mieście. A jednak jest to dom inny od innych. Inna jest nawet oficjalna jego nazwa — **rodzinny dom dziecka.** Jeden z pięciu w Łodzi i dziewiętnastu w kraju.

* * *

Mówić o historii dzieci z domów dziecka to tak, jakby rozrywać nie dające się zabliźnić rany. Mówić o ich dniu dzisiejszym to znaczy mówić o rodzicach, na których czekają, o domu, do którego pragną wrócić. Mówić wreszcie o przyszłości, to znaczy nieustannie poszukiwać modelu instytucji najbliższej ich modelowi szczęścia. Jest to zadanie ogromnie trudne.

Historia opieki nad dzieckiem osieroconym (w sensie społecznym i naturalnym) w naszym kraju i na świecie pełna jest poszukiwań najlepszych i najskuteczniejszych sposobów leczenia choroby sierocej, poszukiwań, których efektem byłoby wypracowanie modelu opieki najbardziej zbliżonego do formy najdoskonalszej — wychowania w rodzinie.

Jedną z takich propozycji są rodzinne domy dziecka. Zgodnie z wytycznymi Ministerstwa Oświaty i Wychowania rodzinne domy dziecka są placówkami opiekuńczo-wychowawczymi, finansowanymi przez państwo i przeznaczonymi przede wszystkim dla sierot naturalnych oraz tych sierot społecznych, których kontakt z rodziną został całkowicie zerwany. Liczba dzieci winna się wahać w granicach od 8 do 12.

* * *

Drzwi otwiera mi siedmioletnia Ewa.

— Chciałem rozmawiać z mamusią.

— Chwileczkę, proszę poczekać, mamusia zaraz przyjdzie.

Słowo — dyrektor — (tak brzmi oficjalny tytuł służbowy) jest w tym domu nieznane. Jest po prostu dla dzieciaków mamą, mamusią, mamcią. I to mamą ośmiorga dzieci, tylu bowiem Jackom i Agatkom zgodziła się być matką. Nie na niby — prawdziwą matką.

Gdzie jest mama, powinien być ojciec. Jest również i ojciec. I aby szczęście było jeszcze większe, jest autentyczna babcia. Ot, i cała rodzinka w komplecie. A jak się ma taką gromadkę, to i problemów co niemiara. Wiadomo — jak w rodzinie.

Prawdziwa matka — tak przez duże M — nie jest nigdy zmęczona. I choć każdy dzień podobny jest do następnego i poprzedniego, setkami małych i dużych kłopotów — myśl, że jest tym małym istotom potrzebna do życia jak chleb i powietrze pozwala zamienić zmęczenie w serdeczny dla nich uśmiech. Nasza mama też nie jest nigdy zmęczona. Nie, nie ma na to czasu. Każde z Jej ośmiorga maluchów ma przecież tyle wielkich zmartwień, tyle problemów do rozwiązania. Któż im pomoże? Tylko mama. Inne osoby są nieważne. No, może jeszcze tata. Ale, to już nie to samo. Mama pomoże najlepiej.

Siedzimy w jednym z ośmiu pokoi oddanych przez państwo naszej rodzinie. Trudno uwierzyć, że jeszcze kilkanaście miesięcy temu budynek ten był we wręcz fatalnym stanie technicznym. Że jest taki jaki jest — po prostu piękny — to raczej zasługa taty, chociaż bez pracowitych rąk mamy nie byłby tak przytulny i ciepły...

Rozmowa, jak zwykle w takich przypadkach, koncentruje się na jednym temacie — dzieci. Skąd przyszły? Co wiadomo o ich przeszłości? Jakim był ten ich pierwszy dom?

Mama niechętnie podejmuje ten temat. Nie chce wracać do tamtych spraw. Gdyby tak można było zapomnieć. Gdyby dzieci mogły zapomnieć o swojej niedawnej gehennie.

— Kocham je bardzo i chyba one też mnie kochają. Może właśnie ta wzajemna miłość będzie najlepszym lekarstwem na zatarcie w ich pamięci tamtych dni, tygodni, lat.

Proszę, tu są teczki akt osobowych. Na pewno nie powiedzą panu całej prawdy. Pozwolą może jednak zrozumieć atmosferę, w której żyli.

Biorę pierwszą z brzegu. Rysio ma 9 lat. Jest jednym z siedmiorga rodzeństwa. Czytam wywiad środowiskowy: „Matka dzieci zmarła w czerwcu 1971 roku. Od tego czasu ojciec mieszka z przyjaciółką. Jest to kobieta posiadająca dwoje własnych dzieci, które pozostawiła z mężem i zamieszkała z ojcem Rysia. Siedmioro dzieci jest pozostawione bez jakiejkolwiek opieki, zdane na łaskę losu i sąsiadów. Ojciec spędza bardzo dużo czasu z przyjaciółką poza domem. Wyjeżdżając na całe dni pozostawia dzieci głodne. Często nad dziećmi litują się sąsiedzi i dają coś do jedzenia. Małoletni zostają bardzo często sami nawet w nocy. Przyjaciółka nie ma nawet zamiaru zająć się dziećmi. Mówi, że „znajdorami" nie będzie się zajmować. W zimie mieszkanie jest nieopalone i dzieci śpią w zimnym pomieszczeniu. W czasie, gdy ojciec przebywał z przyjaciółką w mieszkaniu, dzieci przebywały na dworze, zziębnięte. Przyjaciółka wyzywa dzieci od „zołz" i „znajdków".

Należałoby jak najszybciej zabrać dzieci od ojca, umieszczając je w placówce opiekuńczo-wychowawczej. Małoletni Ryszard przebywa obecnie w szpitalu na zapalenie ucha. Dzieci bardzo mało obchodzą ojca. Całe swoje zainteresowanie skupił na przyjaciółce".

* * *

Beatka ma zaledwie 6 lat. Jakże jednak już bogate i tragiczne są jej doświadczenia:

TADEUSZ MICHALSKI

NASZA MAMA

„Komenda MO Łódź-Górna powiadamia, że małżeństwo R. zamieszkałe w Łodzi przy ulicy... w sposób rażący zaniedbuje wychowanie swych małoletnich dzieci przez to, że pozostawia dzieci w domu bez żadnej opieki i środków do życia. Mieszkanie wyżej wymienionych jest melina pijacką. Matka dzieci uprawia nierząd. Ostatnio opuściła dzieci i udała się w nieznanym kierunku. Ojciec jest znanym recydywistą, stale odbywa kary więzienia za różnego rodzaju przestępstwa, przeważnie za kradzieże z rozbojem".

* * *

Przykład trzeci. Fragment uzasadnienia Sądu dla Nieletnich w Łodzi w sprawie dwunastoletniej Krysi, której „rodzice" pozbawieni zostali władzy rodzicielskiej. „Z pism Komendy MO i listów lokatorów wynika, że Obywatelka S. absolutnie nie interesuje się trojgiem swoich dzieci, pozostawiając je na cały dzień w zamkniętym mieszkaniu, głodne, a sama wychodzi pić wódkę. W miejscu zamieszkania ma opinię alkoholiczki, kobiety niemoralnej, przetrzymującej u siebie młode dziewczęta i chłopców".

Nie będę dalej mnożył przykładów. Życiorysy pozostałej piątki dzieciaków są do siebie bliźniaczo podobne, chociaż nie jednych miały rodziców.

— Kiedy poznałam te wielkie dramaty małych ludzi — mówi mama — męczyło mnie pytanie, czy obowiązek, który przyjęłam na siebie nie przerasta moich sił? Czy pozyskam ich zaufanie? Czy zaakceptują mnie jako matkę i czy w tej roli się sprawdzę? Nie przypisuję sobie żadnych szczególnych zasług. Nie mam też cudownej recepty na idealną matkę.

Dziecko musi kogoś kochać, musi mieć kogoś jedynego, na kim mu zależy. Zrozumiałam tę prawdę. I jest to chyba klucz do mego sukcesu. Przegrali natomiast ich „rodzice", którzy odrzucili i brutalnie podeptali ich miłość do siebie.

Rozważania mamy przerywa Krysia.

— Mamusiu, powiedziałaś, że jak otrzymam piątkę, to dasz mi nagrodę.

— Oczywiście, że dam. Taka była umowa.

Krysia tuli się do mamy.

— Mamo, tak bardzo się cieszę, to jest moja pierwsza piątka w życiu, to jest mój największy sukces w szkole...

Czy tylko twój, Krysiu?

Zdjęcia: J. MENDYCHOWSKI

ZDARZENIA i ZWIERZENIA

DO GWIAZD

W tych dniach minęła trzydziesta piąta rocznica słynnej Bitwy o Anglię, w której polscy lotnicy zapisali się tak bohatersko i tak trwale. Dziś prasa brytyjska przypomina ów polski wkład w obronę Wyspy, choć były lata, kiedy udział polskich lotników konsekwentnie przemilczano. Trudno zresztą mieć o to pretensje tylko do Anglików, skoro i u nas w owych latach zmowa milczenia otaczała tamte epizody wojennej epopei.

Ale, jak się rzekło, dziś największe dzienniki brytyjskie przypominają swoim rodakom, że co ósmy lotnik broniący Wysp Brytyjskich nosił na rękawie naszywkę „Poland".

Ta rocznica właśnie skłoniła mnie do odszukania śladu pierwszego w ogóle polskiego lotnika, jaki zanotowała historia. I oto znalazłem w książce Romana Kalety „Sensacje z dawnych lat" informację, że był nim Jan Potocki (1761—1815), jeden z najosobliwszych reprezentantów Oświecenia w Polsce.

Tak, tak. Jest to ten sam Jan Potocki, który napisał „Rękopis znaleziony w Saragossie". Był synem Józefa Potockiego, krajczego koronnego i Teresy z Ossolińskich, jednej z najpiękniejszych kobiet stanisławowskiej Warszawy.

Młody Potocki dzieciństwo i młodość spędził za granicą. Odebrał staranne wykształcenie we Francji i Szwajcarii, ale jakoś zaniedbano nauczyć go... po polsku. Dopiero mając około dwudziestu lat przybył do Warszawy i po raz pierwszy zetknął się z językiem polskim. Stąd też jego potocznym językiem był francuski, a kiedy usiłował w rozmowach z rodakami posługiwać się polszczyzną, kleił zdania niezgrabne, przeplatając je — ku uciesze słuchaczy — porzekadłem „a juści".

Ale wróćmy do lotnictwa. Oczywiście w roku 1789 można się było wzbić w powietrze tylko balonem. Tak też się stało. Przybył wówczas do Warszawy sławny aeronauta francuski Blanchard — zapragnął więc i Potocki popróbować powietrznej żeglugi.

Blanchard napisał potem o tym locie: „Dokonałem w Warszawie mego 36 wzlotu o godz. 7 rano zaszczycony towarzystwem JWP hrabiego Jana Potockiego, posła poznańskiego..." Razem z Potockim i Blanchardem odbył tę podróż — zupełnie niechcący — sługa hrabiego, Turek Ibrahim. Michał Czacki pisze w swoich wspomnieniach: „Turek niechcący odbył z nim tę nadziemską podróż, bo w chwili, gdy podając chustkę swemu panu wstępował do łódki, odcięto liny i balon szybkim pędem wzniósł się do góry, skąd tylko te słyszeć można było słowa: „Allach, Allach".

Pierwszy polski lotnik też się zapewne lotem zbytnio nie zachwycił, bo — mimo zapowiedzi — powtórnego lotu już odbyć nie chciał. Zważmy jednak, że był to przecież wiek osiemnasty. Takich śmiałków, jak bracia Montgolfier, Blanchard czy Potocki można było policzyć na palcach jednej ręki.

A jednak w naszej Wielkiej Encyklopedii Powszechnej, Jan Potocki odnotowany jest tylko jako pisarz, historyk i archeolog. O tym epizodzie lotniczym jakoś zapomniano, choć był Potocki niewątpliwie pierwszym Polakiem, który wzbił się ponad ziemię.

Dodajmy jeszcze, że na pięć lat przed lotem Potockiego, w rok po publicznych lotach braci Montgolfier, próby lotu balonu (bez ludzkiej załogi) przeprowadzał inny wybitny uczony polskiego Oświecenia — Jan Śniadecki.

Ale i o tym lotniczym epizodzie nie wspomina nasza WEP w dużej, półtoraszpaltowej nocie o Śniadeckim. Faktem jest jednak, że pionierami polskiego lotnictwa byli właściwie pisarze, którym dosłownie i w przenośni przyświecało hasło „ad astra".

WIDOK

LEWYM OKIEM

SZATNIA OBOWIĄZKOWA!

W pełni sezonu turystycznego, w połowie sierpnia, przechowalnia bagażu na ruchliwym dworcu PKS w Poznaniu czynna była przez parę godzin dziennie, a to znaczy, że co najmniej połowa potencjalnych klientów przestawała być potencjalnymi klientami. Ci ludzie, tak samo jak ja, siedzieli po prostu po parę godzin w paskudnym miejscowym bufecie, pilnując własnych, ciężkich walizek i nie mogąc ruszyć się choćby na obiad do najbliższej „Rzemieślniczej". Zamknięcie przechowalni motywowano prościutko: „Z powodu urlopu..."

„Z powodu braku personelu" zamyka się liczne sklepy i punkty usługowe. Urlop to też brak personelu — nie ma kto zastąpić kolegi, jadącego do Międzyzdrojów. Jednocześnie jednak nie ma takiego lokalu gastronomicznego w Polsce, gdzie by nie było szatni z szatniarzem i toalety z robiącą na drutach babką. Na bydgoskim dworcu, remontowanym permanentnie od dwunastu lat, trzeba być Kolumbem, żeby odkryć tamtejszą restaurację. Nie prowadzą do niej żadne drogowskazy, żadne informacje. Pytani kolejarze każą „okrążyć budynek". Okrążyłem go trzy razy, wreszcie znalazłem restaurację pustą przeraźliwie, z jednym kelnerem, z jednym daniem: przesolonymi flakami. Ale obok pustej restauracji siedzi w pustej szatni niewiasta w kwiecie wieku i „pracuje". Kelner nie poda jedynemu w tej chwili gościowi przesolonych flaków, dopóki gość nie odniesie płaszcza do szatni. Szatniarka nie ma drobnych, czas ucieka, pociąg za kwadrans, jeść się chce. Wszystko razem zakrawa na sen neurastenika. Mój płaszcz jest jedynym odzieniem oddanym na pięć minut wiszenia za złotówkę.

Na bocznej uliczce w pewnym małym miasteczku stoi kiosk z lodami. Lody są z maszyny włoskiej (Carpigiani) i napełnienie waflowego stożka trwa pół sekundy: naciska się kran i już. Ale obok naciskaczki kranu siedzi druga osoba inkasująca pieniądze. Dwa etaty dla dwustu naciśnięć kranu w ciągu doby. Jeżeli to ma być ze względu na higienę — to śmiechu warte, proszę panów, bo te dwie osoby ciągle się zamieniają miejscami, wchodzą, wychodzą, zajmują sobie czas kosztem klientów.

Armia babek toaletowych w tysiącach lokali produkuje dziesiątki tysięcy szalików rocznie, inkasując poza tym myto od osób, przypartych potrzebą. Toalety i tak są przeważnie skandaliczne, jakby nikt ich nigdy ścierką i szczotką nie traktował.

W NRD, w Czechosłowacji, na Węgrzech — szatnie istnieją tylko w największych lokalach nocnych, bo tam przychodzi się w wytwornych toaletach, w futrach i drogich okryciach. Poza tym we wszystkich salach konsumpcyjnych stoją liczne i solidne wieszaki. Gość wiesza sobie okrycie obok stolika, przy którym siada, nie traci czasu, nie stoi w kolejkach, nie zatrudnia surrealistycznym zajęciem dorosłej osoby. Dorosła osoba na pewno przydaje się gdzie indziej.

Na dworcach — nawet całkiem malutkich stacjach — przechowuje się bagaż w automatycznie zamykanych blaszanych szafkach. Oszczędność w zatrudnieniu ogromna, wygoda podróżnych takoż. W miejscach bardzo, ale to bardzo ruchliwych są także tradycyjne przechowalnie czynne na okrągło przez całą dobę. W okresach szczytu wzmacnia się ich załogę młodzieżą szkolną, chcącą sobie dorobić na wakacje lepsze od żebraniny autostopowej. Powiecie, że u nas szafki do bagażu byłyby od razu rozbite. Że strach byłoby zostawić tam cokolwiek bez nijakiej odpowiedzialności z niczyjej strony. No to niech już będzie kompromis: niech tam sobie siedzi koło szafek dziadek z kluczami, ten sam co inkasuje myto za toaletę i wypożycza ręczniki. A szatnie w gastronomii proponuję radykalnie zlikwidować. Wieszaki wystarczą.

Ileż to mamy w kraju takich nie pracujących „pracujących", takich księżycowych etatów, takich kasjerów w kioskach z lodami i szatniarzy w pustych kawiarenkach! Kto się tym z urzędu zainteresuje?

ĆWIEK

PROPOZYCJE

JA, CZŁOWIEK!

Był ciepły sierpniowy wieczór. Zatrzymaliśmy się na odpoczynek nad jeziorem, przy moście przerzuconym przez kanał. Słońce już zaszło. Woda płynęła łódka, w której ktoś włączył radio. Nad jeziorem unosiły się dźwięki Koncertu Fortepianowego b-moll opus 23 Piotra Czajkowskiego. Muzyka ta nadzwyczajnie pasowała do nastroju. I choć od tego wieczoru minęło kilka lat, pamiętam go jakby wydarzył się wczoraj.

W tym roku też zdarzyło mi się być nad jeziorami. Ale wrażenia z kilkudniowego pobytu wyniosłem złe. Ludzie mają różne zwyczaje i sposoby odpoczynku. Jeden pragnie ciszy. Inny chce odpoczywać w licznym towarzystwie. Jego sprawa. Czy musi jednak swoim hałaśliwym zachowaniem zawiadamiać o tym najbliższą okolicę? Nie sądzę. A przecież wielu tak czyni.

Woda znakomicie przenosi głos. Wyjechał więc młody człowiek w otoczeniu kumpli, włączył magnetofon i zaczął opowiadać im jaki to z niego chojrak.

— Wyjedziem, kurwa, na jezioro, magnet, kurwa, włączym i pokażem, kurwa, co to my potrafim.

Kumple wiosłują wpatrzeni w to wątpliwej rangi bożyszcze, a on dalej „sadzi":

— Widzisz tych tam, kurwa, rybaków na brzegu, kurwa. Walaj, kurwa, do nich. Ryby im, kurwa, poploszymy.

Rybacy istotnie stoją na brzegu, wędki w rękach trzymają i mogą tylko kijami pomachać chojrakowi. A kumple rechoczą radośnie. Jakie to ich prowodyr hece wymyśla. A bożyszcze dalej „sadzi" na całe jezioro:

— Spiedalamy, kurwa, do brzegu, bo chmura, kurwa, idzie i może ona, kurwa, dać deszcz. A jak da, kurwa, deszcz, to my, kurwa, zmokniemy.

Przepraszam wszystkich co bardziej wrażliwych Czytelników za ten nadmiar „mocnych" słów, ale ten młody człowiek i jego kumplowie nie mieli jeszcze skończonych 18 lat, a więc byli czyimiś niepełnoletnimi dziećmi. Być może kogoś z co bardziej wrażliwszych Czytelników. Być może pojechali na jakiś obóz, albo autostopem i z dala od rodziców popisywali się „mocnymi" słowami, aby dać tym dowód, że są „mocnymi" ludźmi.

Ludzie jadą nad wodę, aby wypocząć. Zatrzymują samochody, wyładowują sprzęt turystyczny, rozstawiają stoliki, krzesełka, zapalają gazowe kuchenki i obozują. Jest im tak dobrze, taki mają styl. Ich sprawa. Niektórzy sprzątają nawet po sobie śmieci. Ale przyjeżdżają też tacy, którzy postanowili tanim kosztem umyć samochód. Podjeżdżają do samego brzegu jeziora, leją samochodowe szampony, różne inne środki czyszczące, nabierają kubły wody i oblewają nimi swoje wozy. Tanio i szybko. Tylko, że popełniają zbrodnię, zanieczyszczają jezioro. Tego typu praktyki powinny być surowo zabronione, a nawet karane.

Ludzie oburzają się, kiedy jakaś fabryka wytruje ryby. A znajomy wędkarz, którego spotkałem nad jednym z jezior, pokazał mi olbrzymie rozlewisko oliwy i smarów oraz śnięte ryby.

— Oto plon wczorajszego najazdu zmotoryzowanych wandali, którzy tu myli samochody i czyścili karnistry.

Człowiek lubi jeździć „na łono przyrody", lubi odpoczywać wśród drzew, kwiatów i traw. Człowiek bardzo szybko zapomina, że sam jest też c z ę ś c i ą przyrody. Nie tak dawno zwykliśmy byli chwalić się naszymi, ludzkimi możliwościami onanowywania przyrody, ale wnet okazało się, że praw przyrody nie można naruszać, że ludzka ingerencja ciągle jeszcze jest niedoskonała, a zachwianie równowagi w przyrodzie nie wychodzi ludziom na korzyść. Ostrzeżenia i przestrogi naukowców zwykliśmy traktować z pobłażaniem, jako lamentu starców zagrzebanych bezpowrotnie w starych księgach. Nauczyliśmy się traktować nasze środowisko jako coś nam podległego i niezależnego. Ciągle nie potrafimy zdawać sobie sprawy z tego, że nawet drobne działanie na szkodę tego środowiska, którego jesteśmy integralną częścią może w konsekwencji przerodzić się w tragiczną lawinę. Potrafimy biadolić nad wydeptaną trawą, a nie dostrzegamy szkód większych, które często sami czynimy. Z tego wcale nie wynika, że trawę należy deptać. Raczej nie siać jej tam, gdzie ludzie wydeptują ścieżki.

Wszelkie jednak apele i nawoływania niewiele pomogą, jeśli człowiek nie zrozumie, że powinien traktować przyrodę z pozycji nie ideału i izolacji i swojej rzekomej nadrzędności, a z pozycji pełnej współzależności. Jeśli nie nauczy się, że jest tej przyrody nierozłączna cząstka. Ale tego trzeba uczyć już w przedszkolu.

Ktoś dawno powiedział, że stosunek człowieka do przyrody jest znamieniem jego kultury. To niewątpliwie prawda, ale sprawa jest znacznie głębsza. Jest to też konsekwencja homocentrycznego punktu widzenia, a ten jest z natury swojej błędny. Nie jesteśmy nawet partnerami dla przyrody. Po prostu jej częścią. Ciągle uczymy się jej praw.

MARCIN RODAK

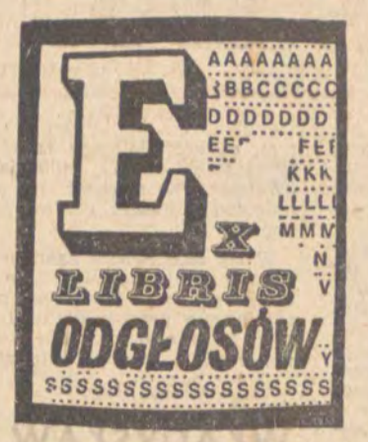

„RAJ"

Patrick Dennis należy do grona współczesnych pisarzy amerykańskich średniego pokolenia. Urodził się w Chicago, wiele lat życia spędził w Nowym Jorku, a potem zamieszkał w Meksyku. Jest autorem paru powieści, które zdobyły sobie popularność wśród czytelników. Zostały także przeniesione na scenę i ekran. „Raj", napisany w 1971 roku, jest pierwszą powieścią Patricka Dennisa przetłumaczoną na język polski. Ukazała się w Klubie Interesującej Książki. Jej akcja dzieje się w Meksyku, na malutkim półwyspie, który po trzęsieniu ziemi zamienia się w wysepkę. Mieszkańcy prywatnego pensjonatu, przedstawiciele różnych warstw amerykańskiego społeczeństwa, zostają nagle odcięci od świata. Niezupełnie jednak, bo na przeciwległym brzegu rozbiła swój obóz wszędobylska i bezwzględna telewizja. Pensjonat, który był „rajem", zniszczony i rozbity, staje się miejscem, w którym wobec nieoczekiwanych nieszczęść i trudności, trzeba pokazać swoją prawdziwą twarz. Wartka akcja, plastyczne sylwetki bohaterów, dowcip i ironia, to główne zalety powieści Dennisa. Na pewno dobrego „czytadła".

Patrick Dennis „Raj", przełożyła Z. Kierszys, PIW, W-wa 1975, str. 405, cena zł 40.—

„O ZŁOTE PASY"

„Zajmuję się pięściarstwem ponad dwadzieścia lat, sam byłem zawodnikiem, przyznam, dość przeciętnym. Ukończyłem kurs instruktorski u Feliksa Stamma i trochę nauczyłem młodych chłopców walki na pięści. W końcu wiele zajmowałem się działalnością organizacyjną w boksie polskim i piszę od lat o tym sporcie, ale kiedy zdecydowałem się choć w skrócie przedstawić przebogatą historię amatorskich mistrzostw Europy w boksie, nie spodziewałem się, że natrafię na tak wielkie trudności" — pisze we wstępie do swojej książki „O złote pasy" Lucjan Olszewski. Trudności, o których wspomina autor, wynikały przede wszystkim z niekompletnych i niedokładnych materiałów źródłowych. Niemniej powstała książka, która jest nie tylko kroniką amatorskich mistrzostw Europy w boksie, ale przedstawia także historię polskiego pięściarstwa. Na pewno więc liczni kibice tej dyscypliny sportu z zadowoleniem powitają książkę Lucjana Olszewskiego. Tym bardziej że autor nie ograniczył się tylko do kronikarskich zapisów kolejnych mistrzostw. W książce znajdziemy trochę ciekawostek i ploteczek z bokserskiego światka, sylwetki naszych najwybitniejszych pięściarzy, a także, co jest szczególnie cenne, rozdział zatytułowany: „Co każdy o boksie wiedzieć powinien", stanowiący małe vademecum dla kibiców boksu.

Osobny rozdział to szata graficzna książki. Wydawnictwo „Sport i Turystyka" nie często może pochwalić się sukcesem w tej materii, i tym razem wiele do życzenia pozostawia okładka, wręcz brzydka i niechlujna, na której, nie wiadomo dlaczego, nie mieści się tytuł. Do książki dodano wkładkę „z ostatniej chwili", na której króciutko omówiono wyniki XXI Mistrzostw Europy. Rzecz chwalebna, ale nie obyło się bez partactwa drukarzy z Domu Słowa Polskiego. Czytelna jest tylko pierwsza strona wkładki. O drugiej nawet pisać nie warto. Tylko, do licha, gdzie był kontroler jakości, kiedy tę wkładkę drukowano?

Lucjan Olszewski „O złote pasy", Sport i Turystyka, W-wa 1975, str. 213, cena zł. 35.—

„PEDRO PARAMO"

Jedną z najnowszych książek serii Prozy Iberoamerykańskiej jest powieść Juana Rulfo „Pedro Paramo". Autor jest jednym z najwybitniejszych przedstawicieli pisarzy meksykańskich średniego pokolenia. Polski czytelnik miał już dawniej okazję zapoznać się z jego prozą, wydano bowiem zbiór opowiadań „Równina w płomieniach". Powieść „Pedro Paramo" stosunkowo wcześnie, bo już w dziesięć lat od momentu jej publikacji, zyskała sobie rangę klasycznego dzieła współczesnej nowelistyki meksykańskiej. Dziś traktuje się ją jako punkt zwrotny w porewolucyjnej twórczości Meksyku. Bohaterowie prozy Juana Rulfo to Indianie meksykańscy i ich przeszłość. Świat bohaterów „Pedro Paramo" to świat odrealniony, prawda miesza się tu z fantazją, czas obecny z czasem dawno minionym, a żyjący z cieniami przodków. Niezwykłość nastroju, poezja języka, niemal wyrafinowana kompozycja powieści Juana Rulfo pozwalają ją zaliczać do dzieł mających znaczenie nie tylko w kręgu kultury południowoamerykańskiej.

Juan Rulfo „Pedro Paramo", przełożyła K. Wojciechowska, Wydawnictwo Literackie, Kraków 1975, str. 108, cena zł 15.—

„POD BŁĘKITNĄ FLAGĄ"

Kiedy na synajską pustynię, do strefy buforowej między pozycjami wojsk egipskich a izraelskich, wyjechali polscy żołnierze, jako I Zmiana Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej w Doraźnych Siłach Zbrojnych ONZ, udał się z nimi również Bohdan Świątkiewicz. Pełnił rolę oficera prasowego. Założył radiostację wojskową „Słońce", a także starał się być wszędzie tam, gdzie coś się działo. Dzięki temu zebrał bogaty materiał obserwacyjny, przeprowadził wiele rozmów, przysłuchiwał się innym, widział polskich żołnierzy w różnych i to bardzo nietypowych sytuacjach. Z notatek, obserwacji, rozmów i wrażeń powstał tom reportaży: „Pod błękitną flagą".

Postawa żołnierzy polskich w Egipcie zyskała powszechne uznanie. Ale książka opisuje wydarzenia i ludzi tylko I Zmiany Polskiej Wojskowej Jednostki Specjalnej. Autor przedstawia spotkania z żołnierzami innych jednostek, z żołnierzami armii egipskiej, z którymi przychodziło współpracować, a także z żołnierzami armii izraelskiej, kiedy na 101 kilometrze rozdzielano obie armie, tworząc strefę buforową.

Postawa polskich żołnierzy w Egipcie potwierdziła wysokie walory wychowawcze Wojska Polskiego. Choć przygotowywani do innych zadań, do obrony naszej ojczyzny w zupełnie innych warunkach klimatycznych i geograficznych, potrafili podołać wszystkim zadaniom, jakie przed nimi postawiło dowództwo Sił Zbrojnych ONZ. Byli i są nadal przykładem koleżeństwa i zdyscyplinowania dla innych jednostek Sił Zbrojnych ONZ.

W książce Bohdana Świątkiewicza można też znaleźć codzienne sprawy polskich żołnierzy, jak żyli i czym żyli, jak tęsknili za najbliższymi i krajem.

B.M.

Bohdan Świątkiewicz — „Pod błękitną flagą", Iskry, Warszawa 1975, str. 200, cena: zł 22.—

WARTO PRZECZYTAĆ

K. Lorenz — „Tak zwane zło", PIW, cena 45 zł.
R. Dobrzyński — „Błękitne imperium gen. Franco", KiW, cena 30 zł.
G. Pausewang — „Porwanie Doni Agaty" PIW, cena 20 zł.
A. Świecki — „Oświata i szkolnictwo" KiW, cena 45 zł.
H. Zins — „W świecie anglosaskim", Wyd. Lubelskie, cena 50 zł.
A. Dorosz — „Dolar wczoraj, dziś", PWE cena zł 24.—
L. Tołstoj, A. Czechow, I. Bunin — „Trzy opowiadania", Czytelnik, cena 30 zł.
B. Michałek — „Film — sztuka w ewolucji", WAiF, cena 40 zł.
Ch. Marlowe — „Masakra w Paryżu", Wyd. Literackie, cena 18 zł.
J. Kłosińska — „Sztuka bizantyńska", WP, cena 60 zł.

MAGAZYN
ODGŁOSY

WŁADYSŁAW KRAKUS

KANONIK I DUCH

Kanonik Sierant był tego dnia w doskonałej formie: grzmiał, tępił, groził i krzyczał z ambony wobec kilkudziesięciu ludzi zgromadzonych w kościele z okazji pogrzebu Stefana Skrzydlorza. Powodem oracji była msza żałobna zakupiona przez rodzinę zmarłego na jego intencję. Zebrani wierni słuchali swego pasterza w milczeniu, pochyliwszy z czcią głowy. Od ołtarza z rzadka odzywały się dzwonki akompaniujące celebrującemu mszę kapłanowi i cicho trzaskały woskowe świece wokół katafalku na środku kościoła.

W tej napiętej ciszy każde słowo kanonika brzmiało jak wystrzał i niosło się echem pod sklepieniem i w niszach świątyni. Sierant kończył właśnie wywód o znikomości doczesnego świata.

— I cóż znaczy wszystko bogactwo tego świata wobec majestatu śmierci? — wołał. — Oto leży przed wami, drodzy moi, powłoka cielesna kogoś, kto kiedyś był Stefanem Skrzydlorzem — człowiekiem, który wiódł życie pogodne i beztroskie, człowiekiem, który to życie kochał i mógł się nim cieszyć przez wiele jeszcze lat. Lecz oto przychodzi chwila, gdy trzeba zostawić młodą żonę, kochane i kochające dziatki oraz wszystko inne i udać się w daleką podróż.

Tu kanonik przerwał, po czym zawołał przejmującym głosem.

— Stefanie Skrzydlorzu! mówię ci, wstań! Wstań, albowiem czeka na ciebie żona; wstań, albowiem opłakują cię osierocone dzieci!

Nie wstanie Stefan Skrzydlorz z martwych i nie wróci do nas. Nie wróci, bo przyszedł czas, gdy znajdują do niego zastosowania słowa Pisma Świętego, które mówi: „Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz".

Dlatego też pamiętajmy, bracia i siostry, pamiętajmy zawsze o tym, co król Salomon mówi w „Pieśniach nad pieśniami": „Wszystko to marność nad marnościami i jeszcze raz marność". Amen.

W zły czas musiał kanonik wygłaszać swoje kazanie, bo gdy wieczorem odpoczywał po pracy grzejąc się przy kominku i czytając książkę, oczom jego w pewnej chwili ukazała się zjawa, która wkrótce przybrała postać ludzką i zmaterializowała się w odległości trzech kroków przed nim.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — wykrzyknął kanonik w wielkim przestrachu.

— I ja Go chwalę — rzekło spektrum. — Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus.

— Nna wwieki. Ktoś ty?

— Wzywałeś mnie dzisiaj z martwych. Otom jest.

— Skrzydlorz!

— Sprawa twoja ważną być musi, skoro wzywałeś mnie do powrotu z tak dalekiej podróży. Powiedz, o co ci chodzi.

— To była tylko taka figura retoryczna — plątał się w wyjaśnieniach kanonik. — Ja... ja wiedziałem, że nie wstaniesz.. To znaczy... do tej chwili tak myślałem... Chciałem, chciałem udowodnić pewien punkt widzenia. Wybacz, ale nie mam do ciebie żadnej sprawy. Chyba, chyba za głośno krzyczałem...

— Tak i myślałem. A teraz słuchaj. Ponieważ chciałeś mnie widzieć, korzystam z okazji, aby przekazać ci pewne polecenie.

Wiadomo nam, że twój dziadek, zmarły przed dwudziestoma laty, jest (jak to zresztą sam podejrzewałeś od dłuższego czasu) wampirem. Musisz uwolnić jego duszę od tego przekleństwa i w tym celu wyszukasz sobie długi, zaostrzony pal oraz młot i poszedłszy na cmentarz wbijesz ten pal, punktualnie o godzinie dwunastej w nocy, w jego grób. Zrobisz to dziś, teraz!

Widmo zniknęło a kanonik, nie zastanawiając się nad tym, co usłyszał, machinalnie ubrał się w długi nieprzemakalny płaszcz, wygrzebał z komórki odpowiedni pal oraz ciężki młot i tak zaopatrzony udał się na odległy o kilometr cmentarz. Była ciemna listopadowa noc i deszcz, który padał od kilku dni, zacinał niemiłosiernie ze wszystkich stron. Kanonik wszedł na cmentarz przez otwartą bramę, odszukał dobrze sobie znany grób i, czekając na wybicie godziny dwunastej na wieży kościelnej, modlił się na klęczkach.

Wraz z pierwszym uderzeniem zegara zaczął wbijać pal w rozmiękły grób. Z początku drewno wchodziło z łatwością, potem trzeba było uderzać je silniej, aż spłaszczył się i rozczapierzył górny koniec pala. W końcu jednak cały pal skrył się w ziemi. I wtedy, gdy kanonik chciał powstać z klęczek, stwierdził, że coś schwyciło go za połę płaszcza i ciągnie ku ziemi. Przerażenie zjeżyło mu włosy a z gardła wydarł się chrapliwy okrzyk trwogi.

Następnego dnia rano wszystko pokrył puszysty biały dywan śniegu. Na cmentarzu wydobyto spod niego zwłoki kanonika Sieranta. Twarz miał wykrzywioną grymasem strachu, a połę jego płaszcza przebijał gruby pal wbity w ziemię.

MIECZYSŁAW M. SZARGAN

MYŚLI z GŁOWY

• • •

Są Tablice na których ludzie wiszą!

• • •

Czy zauważyliście, że człowiekiem straszy się nawet wróble?

• • •

Klęska urodzaju? Głupich głów!

• • •

Musimy się wreszcie umówić. Mam z sobą do pogadania.

• • •

Są i tak obżarci: pojedli wszystkie rozumy!

• • •

Dla ćmy światło bywa stosem!

• • •

Śniłem monstrualną kolejkę. Ludzie w niej stali, by powąchać jedyny ocalały na ziemi kwiat.

• • •

Biada przywiązanym kiedy zaczną na siebie szczekać.

• • •

„Życie to walka!" — szepnął do człowieka sprężynowy nóż.

• • •

Zakwitł kwiat paproci. Teraz chodzi o to aby go nie znaleźć.

• • •

Drzewo. Jeszcze zielono szumi z niego moja trumna!

ZDZISŁAW MARZEC

ŻYCIE W KOSMOSIE

Przed chwilą oglądałem w telewizji program „Próba". Na niebie jest miliard galaktyk. Każda z galaktyk liczy około miliarda gwiazd. Nieprawdopodobne!

W tej liczbie, co ja zresztą mówię, w tym miliardzie miliardów, gdzieś w kącie jest jedna samotna — Ziemia. A na Ziemi są też miliardy, 3,5 albo 4. Ludzi. A wśród nich ja — jeden. Aż głupio, że jestem, no ale jestem.

A obok mnie jest Dziunia. A ponieważ jest wieczór, Dziunia jest rozebrana. Patrzę za okno — chyba galaktyki, patrzę na Dziunię — a ona sama i tylko te dwie piersi.

Redaktor w programie „Próba" mówił, że nie wiadomo, czy tam hen na tych gwiazdach jest życie. Naukowcy odpowiadali, że być może, że jacyś krzemowcy, albo typy amoniakalne, ale jeszcze nie wiadomo.

Dziunia zaś patrzy na mnie tak jakby na świecie, ba, we wszechświecie już nikogo innego nie było. I to mi cholera jakoś irracjonalnie odpowiada. Zapominam nawet o programie. A przecież z nauką trzeba za pan brat.

Fot.: Jacek Śliwa

PŁYTY

NIEOBOJĘTNE WZNOWIENIA

Praktykę tę Polskie Nagrania zdaje się już prawie zarzuciły, ale przed laty zdarzało się, że kiedy pojawiał się w naszym kraju jakiś wybitny artysta o głośnym nazwisku, starano się go pozyskać do nagrań. I udawało się to wcale nieźle, czego dowodem głośne swego czasu, a wznawiane dziś na płytach „Muzy" w wersji stereofonicznej (nareszcie!) polskie nagrania wspaniałego już wówczas, w latach pięćdziesiątych Światosława Richtera. Świeżo pojawiła się płyta z recitalem artysty, nagranym „na żywo" podczas koncertu w 1954 r. (SXL 0037), niestety nie najlepsza pod względem technicznym (bezbarwny, martwy dźwięk instrumentu), ale artystycznie interesująca. Może mniej zachwyca tu grany bardzo powściągliwie F. Chopin (Polonez — Fantazja Op. 61 i Scherzo E-dur Op. 54), zwraca jednak uwagę nad wyraz piękna interpretacja trzech Mazurków K. Szymanowskiego z Op. 50, uzupełniona dwoma Preludiami i fugami z Op. 87 D. Szostakowicza. Płyta jednak, z racji swoich cech brzmieniowych, winna być traktowana jako nagranie archiwalne. Inaczej jest z innymi nagraniami Richterowskimi, chociaż noszą one na kopercie napis: „rekonstrukcja nagrań archiwalnych z 1959 r", dwóch które ukazały się ostatnio w wersji stereofonicznej. O pierwszej, na której znajduje się V Koncert fortepianowy S. Prokofiewa oraz sześć przepięknie zagranych Preludiów S. Rachmaninowa (SXL 0055) pisałem w poprzednim felietonie. Druga przynosi II Koncert fortepianowy c-moll Op. 18 S. Rachmaninowa i trzy Preludia tegoż kompozytora z Op. 23 (dubluiące się z poprzednią płytą) (SXL 0056). Nagranie II Koncertu, zrealizowane razem z Orkiestrą Filharmonii Narodowej pod dyrekcją Stanisława Wisłockiego zrobiło w swoim czasie sporą międzynarodową karierę, oczywiście nie na płytach „Muzy", ale zachodnioniemieckiej „Deutsche Grammophon Gesellschaft", było też ogłoszone przez NRD-owską „Eternę", zawsze w wersji stereofonicznej (Eterna 825 178). Należy ono bez wątpienia do najciekawszych realizacji, jakie zdarzyły się w historii „Polskich Nagrań" i chociaż stare, w wydanej ostatnio (po raz pierwszy! sic!) wersji stereofonicznej brzmi doskonale, wcale nie jak płyta archiwalna i niewiele się zestarzało. Ponieważ zaś na naszym wciąż bardzo skromniutkim rynku płytowym pojawiły się niedawno i inne ciekawe nagrania tego samego utworu, jest okazja do porównań. Skupioną i dosyć powściągliwą interpretację S. Richtera możemy więc porównywać z nagraniem młodziutkiego pianisty radzieckiego Władimira Krajniewa z Wielką Orkiestrą Symfoniczną Radzieckiego Radia pod dyrekcją Konstantina Iwanowa (Melodija CM — 02695-6), nieco rozwichrzonym, młodzieńczo egzaltowanym, oraz głęboką, utrzymaną w charakterystycznym dla dawniejszej rosyjskiej pianistyki stylu interpretacją artysty starszej generacji Pawła Sieriebrjakowa, z Filharmonią Leningradzką pod dyrekcją tym razem Jurija Sieriebrjakowa (Melodija CM—03921-22). Porównanie będzie na pewno interesujące.

A swoją drogą warto byłoby zastanowić się, czemu Polskie Nagrania dopiero teraz zdobywają się na publikowanie swoich tak przecież cennych nagrań Richterowskich w obowiązującej już od dawna w całym świecie wersji stereofonicznej. Przecież firmy, które nagrania te od nich kupiły, dysponują takimi płytami od bardzo wielu lat. Dlaczego wreszcie nie wytłoczono w wersji stereofonicznej dalszych interesujących nagrań dokonanych przez wielkiego radzieckiego artystę w Polsce, mianowicie Koncertu d-moll (KV 466) W. A. Mozarta oraz Koncertu a-moll Op. 54 i Koncertstücku G-dur Op. 92 R. Schumanna, skoro NRD-owska Eterna potrafiła uczynić to już bardzo dawno? Jej płyty z tymi utworami, publikowane z napisem informującym, że pochodzą one z repertuaru Polskich Nagrań (Eterna 825 962, 825 483) przy odrobinie szczęścia można napotkać w Ośrodku Kultury i Informacji NRD w Warszawie. Nagrania mają to do siebie, że starzeją się nieuchronnie i to nawet wtedy, kiedy są dobre. Lepiej dostarczać je słuchaczom, zanim się zestarzeją.

XYZ

OPOWIEŚCI NIEPRAWDZIWE

Rysował: JACEK BROMSKI

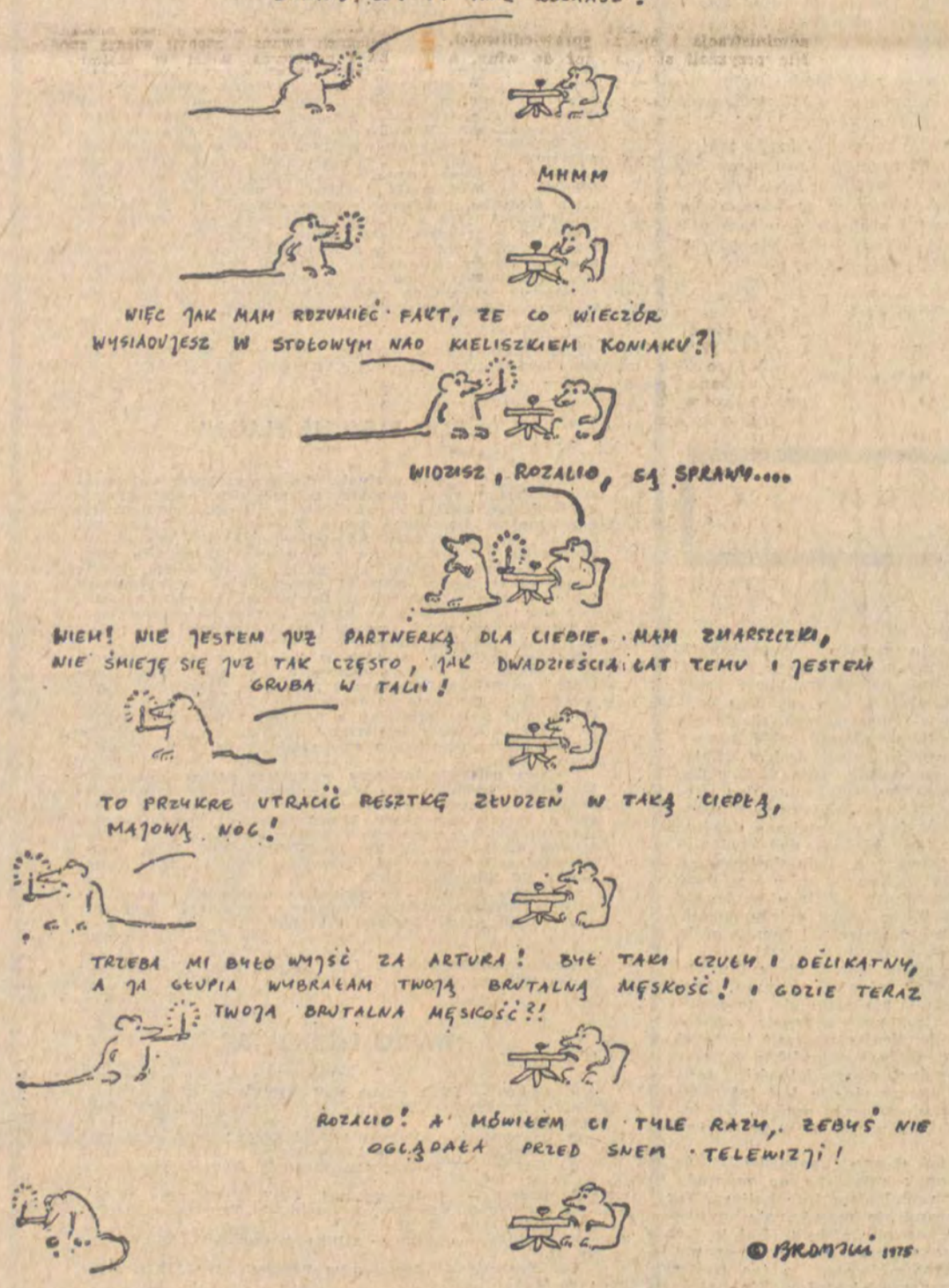

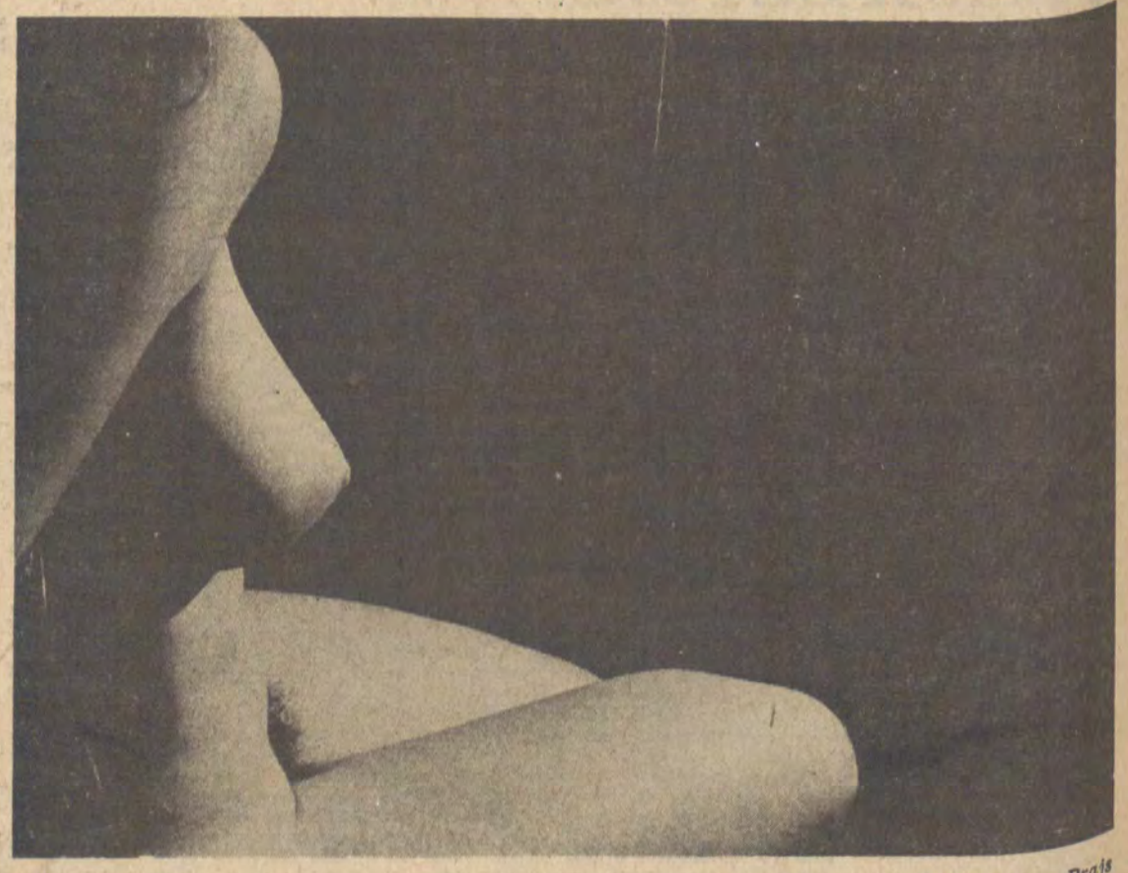

Fot.: Janusz Prajs

Tygodnik Robotniczej Spółdzielni Wydawniczej „Prasa — Książka — Ruch". Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW w Łodzi. Adres redakcji: ul. Piotrkowska 96, kody poczt. 90-950 i 90-102, telefony 652 44, 217-98 oraz 293 00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 12 zł, kwart. 36 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk: Zakłady Graficzne RSW „Prasa — Książka — Ruch", Zam. 1236, U-12. Nr indeksu 37006/26762.